

ALFRED HITCHCOCK

POWRÓT Z PIEKŁA

NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: MIRA WEBER)

ROZDZIAŁ 1

PRAWDZIWA ZAGADKA

- Śmiechu warte - skomentował siedemnastoletni Jupiter Jones. - Poradziłoby sobie z tym nawet dziesięcioletnie dziecko.

Chłopiec nie chciał w oczach przyjaciół uchodzić za pyszałka, więc na wszelki wypadek nie dodał, że on rozwiązałby taką krzyżówkę już wtedy, kiedy miał pięć lat.

Pete'owi Crenshawowi jednak te same hasła wcale nie wydawały się takie proste. Któryż dziesięciolatek wiedziałby na przykład, kto był żoną Dagwooda? Nazwisko brzmiało mu znajomo, ale nie umiał go z niczym skojarzyć.

Bob Andrews oparł stopy o krawędź biurka. Poradził sobie z agwoodem, więc wpisał rozwiązanie w odpowiednie kratki, po czym przeszedł do następnego hasła. "Przed siebie". Siedmioliterowy wyraz, rozpoczynający się na literę "n". "Naprzód".

Trzej Detektywi siedzieli w Kwaterze Głównej, usytuowanej na terenie składowego złomu Jonesów, w Rocky Beach, niewielkim kalifornijskim miasteczku w pobliżu Los Angeles.

Zaczął się drugi tydzień letnich wakacji. Zazwyczaj chłopcy spędzali wolny czas poza domem i tym razem pewnie byłoby podobnie. Ich firma detektywistyczna akurat nie miała nic do roboty, ale i tak nie brakowałoby im zajęć.

Jupe - jak nazywali Jupitera przyjaciele - pływałby w oceanie. Pierwszy Detektyw miał nadzieję, że intensywne poruszanie się w wodzie pomoże mu zgubić kilka zbędnych kilogramów.

Pete uprawiałby surfing lub szalałby kabrioletem ze swoją dziewczyną, Kelly Madigan. Chłopiec kupił używanego MG i poświęcał całe tygodnie, by podrasować nieco stary samochód.

Bob byłby na jakimś rockowym koncercie pod gołym niebem, otoczony grupą oddanych mu wielbicielek. Pracował dorywczo dla miejscowego łowcy talentów muzycznych i często dostawał darmowe bilety na różne imprezy. Jednakże to uroda Boba przyciągała dziewczyny bardziej niż fakt, że mógł je zapraszać na występy.

Tymczasem w ciągu ostatnich trzech dni w telewizji zapowiadano niewielkie opady. Było to pojęcie względne. Jupe zaobserwował, że dopóki nie wystawiało się nosa z domu, za oknem ledwie mżyło, wystarczyło jednak wyjść na zewnątrz, by przemoknąć do suchej nitki.

Pierwszy Detektyw wpisał w kratki jeszcze dwie litery i położył długopis obok całkowicie rozwiązanej krzyżówki.

- Przeciwnieństwo do "Zatrzymaj się" - powiedział z pogardą.

- Dajcie spokój! Nawet osioł by odgadnął.

- Mam już to - uśmiechnął się Pete. - "Ruszaj".

Jupe wziął ulotkę, w której wydrukowana była krzyżówka, i zerknął do instrukcji na odwrocie.

- *W konkursie mogą wziąć udział jedynie chłopcy, uczniowie szkoły średniej, między czternastym a osiemnastym rokiem życia - przeczytał na głos. - Oplata wstępna nie jest wymagana.* Skąd to wytrzasnąłeś? - spytał Pete'a.

- Rozdawali ulotki w naszym supermarkecie - wyjaśnił Drugi Detektyw. - Hasła są łatwe dla ciebie, Jupe, bo urodziłeś się z głową jak komputer. Co to jest: "Stój, rumaku"? Trzy litery, ostatnia "r".

- Prr - odpowiedział Bob.

Jupiter czytał dalej.

- *Główną nagrodą jest dwutygodniowy, całkowicie bezpłatny pobyt na pięknym ranczu w północnym Meksyku. Dodatkowe atrakcje to jazda konno, połów ryb w ogromnym, krystalicznie czystym jeziorze, wycieczki, pyszne pieczone steki...*

- Wystarczy - wtrącił się Pete. - Kupuję!

Pete był najpotężniejszy spośród Trzech Detektywów i cieszył się zdrowym apetytem.

Popatrzył w sufit przyczepy, która służyła im jako Kwatera Główna. Krople deszczu bębniły o metalowy dach.

- Być może w Meksyku jest lepsza pogoda niż tu - dodał. - Mogę uprawiać surfing, nawet kiedy pada, ale potrzebne są fale! Tymczasem ocean jest gładki jak stół.

Jupe nie słuchał ani Pete'a, ani szumu deszczu. Ciągłe był zajęty instrukcją na odwrocie ulotki.

- Nie przyjmujemy odpowiedzi pisemnych. Rozwiązania haseł należy nagrać na kasetę. Najpierw hasła poziome...

Chłopiec przerwał i szybko przebiegł wzrokiem pozostały tekst.

- Dziwne - zauważył.

- Co w tym dziwnego? - zdumiał się Bob. Polecenia wydawały mu się tak proste jak odpowiedź na hasło "Nie tam". "Tu" - zapisał, nim spojrzał na Jupitera.

- Wydrukowanie ulotek kosztuje - zadumał się Jupiter. - Pobył na ranchu w Meksyku również. Po co ktoś miałby wyklądać forszę na taki durny konkurs?

- Sztuczka reklamowa - wyjaśnił mu Bob.

Doświadczenia wyniesione ze świata muzyki pop, w którym sporo się obracał, nauczyły go rozpoznawać założoną przynętę.

- W ten sposób zachęcają cię, byś kupił magnetofon i czystą kasetę.

- Wyjaśnienie brzmi sensownie - przyznał Jupiter. - Nie zauważyłem jednak śladu informacji ani o tym, gdzie należy kupić sprzęt, ani też nazwy producenta.

- Wręczali ulotki w supermarkecie - przypomniał Pete. - Może akurat robią wyprzedaż?

Jupiter potrząsnął głową.

- Gdybyś zauważał cokolwiek poza Kelly Madigan, wiedziałbyś, że supermarket w Rocky Beach nie prowadzi sprzedaży żadnych elektronicznych urządzeń, nawet kieszonkowych kalkulatorów.

Ponownie zerknął do ulotki.

Niewysoki i tęgawy Jupe nie lubił ruszać się więcej, niż musiał. Dwa tygodnie na ranczu w Meksyku, jazda konna i wędkowanie zupełnie go nie pociągały. Zaciekał go jednak sam konkurs. Kto i dlaczego zamierzał go sfinansować?

- Prawdopodobnie rozprowadzali te ulotki w całym Los Angeles i okolicach - powiedział. - Hasła są tak łatwe, że można się spodziewać setek prawidłowych rozwiązań, będą więc musieli wybrać jedno. Nas jest trzech, czyli razem mamy trzykrotnie większą szansę na wygraną.

Bob popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Naprawdę chcesz wziąć w tym udział? - spytał.

- Jasne. Czemu nie?

Jupiter wyjął z szuflady biurka magnetofon, włożył czystą kasetę i wraz z rozwiązana krzyżówką podał urządzenie Pete'owi.

- Zaczynaj nagranie - powiedział. - Najpierw hasła poziome.

Zanim Pete włączył magnetofon, popatrzył na krzyżówkę i prychnął z niechęcią.

- "Chodź" ma być odpowiedzią na hasło: "Przyjdź i weź udział"? Jakieś dziwactwo. Dlaczego nie napisali po prostu: "Przeciwieństwo "odejść"?"

Godzinę później Trzej Detektywi zgodnie z instrukcją zapakowali do grubych kopert trzy nagrane kasety z rozwiązana krzyżówką, dołączyli swoje dane i zaadresowali przesyłki na podany w ulotce adres w Santa Monica.

Deszcz chwilowo ustał.

- Możemy wysłać koperty, zanim znowu zacznie padać - zaproponował Bob. Wyjął z oczu szkła kontaktowe i zaczął je czyścić.

- Albo pojechać do Santa Monica i doręczyć je na miejscu - podsunął Jupe.

- Po co mamy się wlec do Santa Monica? - marudził Pete. - Czy jest tam coś ciekawego poza kilometrami mokrego piachu na plaży?

- Pojeździmy trochę, wstąpimy na pizzę, zorientujemy się, co się dzieje. Może coś zobaczymy? - odparł Bob, który zdążył już włożyć z powrotem szkła kontaktowe.

Pete poparł pomysł. Był głodny.

Jupe nic nie odpowiedział. Pizzy i innych tego typu dań musiał się wyrzec, bo były tuczące. Wiedział również, że zobaczą po prostu dziewczyny.

Pierwszy Detektyw oczywiście nie miał nic przeciwko dziewczynom. Interesował się nimi tak samo, jak jego dwaj przyjaciele. Kłopot polegał na tym, że one zupełnie nie zwracały na niego uwagi, zwłaszcza gdy w pobliżu był Bob. Mimo to Jupiter chciał pojechać do Santa Monica na rekonesans. Pragnął się przekonać, kim jest adresat, do którego miały trafić rozwiązania krzyżówki. Być może wtedy uda mu się zrozumieć, czemu miała służyć cała zabawa.

- Dobrze, zbierajmy się - powiedział.

- Czym wozem jedziemy? - spytał Pete. - Dach MG przecieka. Nie miałem czasu go naprawić.

- Na pewno nie moim - odparł ponurym tonem Jupiter. Jego honda civic została skasowana, kiedy pracowali nad kolejną zagadką, a skąpe zasoby finansowe ciągle nie pozwalały chłopcu na kupno innego samochodu.

- Znowu będziemy się tłoczyć w garbusie - jęknął Pete. Nie mieli jednak innego wyjścia. Kiedy szli do czerwonego volkswagena, Bob trącił przyjaciela w ramię. Jako właściciel auta usiadł za kierownicą, Jupiter zajął miejsce obok niego, a Pete opadł ciężko na tylne siedzenie i wyciągnął nogi na fotelu. Siedemnastoletni Drugi Detektyw miał dobrze

ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i proporcjonalnie długie nogi. Nie mógł jechać obok kierowcy, gdyż szorowałby kolanami o tablicę rozdzielczą.

Kiedy chłopcy sunęli nadbrzeżną szosą, znowu zaczęło mżyć.

- Co za anomalia - żalił się Pete, patrząc smętnym wzrokiem na skąpane w deszczu wybrzeże.

- Masz rację. Nie to, co w San Francisco. Tam zawsze możesz spodziewać się deszczu - zauważył Bob.

Obowiązki służbowe kilka razy zawiodły go do tego miasta. Na polecenie Saxa Sendlera Bob organizował trasy zespołom, z którymi szef właśnie zawarł kontrakt.

W Santa Monica Trzej Detektywi szybko odnaleźli poszukiwaną ulicę. Znajdowała się w centrum miasta, w dzielnicy handlowej. Jupiter przez szybę samochodu śledził mijane numery.

- Tam - odezwał się nagle, dotykając ramienia Boba. - Dokładnie gdzie ci ludzie...

Nie musiał nic więcej dodawać. Przed jednym ze sklepów zebrało się wielu przechodniów. Przy krawężniku stały dwa wozy policyjne z włączonymi sygnałami świetlnymi.

- Chodźmy - powiedział Jupiter, otwierając drzwi, kiedy Bob zatrzymał samochód. - Pod ten adres mieliśmy dostarczyć kasety. Zobaczmy, co się dzieje.

Trzej przyjaciele przeciskali się przez tłum. Zobaczyli, że dwaj policjanci zagląдают do wnętrza sklepu przez oszklone drzwi. Najwyraźniej gotowi byli je wyważyć, gdyby zauważyli w środku coś podejrzanego.

Jupe jak zwykle metodycznie obejrzał cały budynek, w którym mieścił się sklep. Nie wiadomo, co kiedyś w nim sprzedawano. Teraz szyby wystawowe zamalowane były od wewnątrz białą farbą. Większość powierzchni pokrywały napisy: Na sprzedaż.

Żadna z zapytanych osób nie wiedziała, co się dzieje. Widać było jedynie, że potencjalny włamywacz nie zdołał pokonać drzwi.

Być może system alarmowy zaczął działać, zanim intruz dostał się do środka.

Jupiter przeszedł na drugą stronę ulicy, wstał do kiosku i kupił w automacie kilka znaczków. Nakleił je na koperty, które wrzucił do wiszącej w pobliżu skrzynki pocztowej, po czym dołączył do tłumu, kłębiącego się na zewnątrz opustoszałego sklepu, i zaczął się rozglądać za przyjaciółmi.

Boba dostrzegł od razu. Stał obok wozu policyjnego i rozmawiał z ładną, ciemnowłosą dziewczyną mniej więcej w jego wieku. Panienska co chwila marszczyła nos. Najwyraźniej nie mogła opanować tego odruchu. Mimo to sprawiała bardzo sympatyczne wrażenie.

W pewnej chwili pojawił się Pete i wraz z Jupiterem czekał niecierpliwie, aż Bob zakończy rozmowę. Chłopiec pożegnał wreszcie dziewczynę i rozstali się. Trzej przyjaciele wrócili do samochodu i wyruszyli w drogę powrotną do domu.

- Dała ci swój numer telefonu? - spytał Jupe z nutą zazdrości w głosie.

Bob pokręcił głową.

- Nie jest w moim typie - wyjaśnił. - Zbiera wczesne nagrania Judy Garland.

Być może stąd wziął się odruch marszczenia nosa, pomyślał Jupiter. Dziewczyna naśladowała filmowe wcielenie znanej niegdyś aktorki i piosenkarki.

- Musiałeś z nią gadać aż dziesięć minut, by się zorientować, że nie lubi rocka? - dopytywał się Pete. - Myślałem, że jesteś szybszy w tych sprawach.

- O muzyce rozmawialiśmy jedynie na wstępie - odparł Bob. - Potem opowiadała o tym, co się tu niedawno wydarzyło.

- No i co z tego - parsknął Jupe. Trzej Detektywi mieli rozwiązywać zagadki, a nie podrywać dziewczyny.

- Mówiła - ciągnął Bob - że właśnie wychodziła ze sklepu z kawą, który znajduje się po drugiej stronie ulicy, kiedy włączył się zewnętrzny alarm antywłamaniowy w tym

nieczynnym magazynie. Potem zobaczyła, że ucieka stamtąd jakaś kobieta, szybko wsiada do niebieskiego samochodu i odjeżdża z piskiem opon.

- Czy twoja rozmówczyni zapamiętała, jak wyglądała tamta kobieta? - spytał Jupe.

- Według niej była to szczupła blondynka około czterdziestki - odparł Bob. - Nosila ciemne okulary.

- Ciemne okulary w taki deszczowy dzień! - zawołał Pete.

- Powinna była jeszcze zamontować na nich wycieraczki.

- Dość tajemnicza osoba - przyznał Jupe.

Milczał przez chwilę, zastanawiając się nad całą sprawą.

- Zamierzała się włamać do pustego magazynu. Ciekawe, co spodziewała się tam znaleźć? - spytał.

Odpowiedziała mu cisza. Jupiter nie mógł pozwolić, by na tym się skończyło.

- Coś tak cennego, że ryzykowała nawet pójście do więzienia byle tylko to dostać - oznajmił. - Chłopaki, z tym konkursem wiąże się coś więcej niż pieczone steki!

ROZDZIAŁ 2

KIERUNEK: MEKSYK

Następnego dnia wypogodziło się i nad Kalifornią znowu świeciło słońce. Przez kolejne trzy tygodnie każdy z Trzech Detektywów zajmował się swoimi sprawami.

Bob pogрузił się w pracy, jego szef, Sax Sendler, załatwił kilku promowanym przez agencję zespołom występ w wielkim koncercie rockowym pod gołym niebem. Bob pracował po dwanaście godzin na dobę. Przygotowywał reklamy, biegał na posyłki i pomagał w montażu sprzętu.

Pete miał kłopoty ze swoją dziewczyną, Kelly. Wydawało się, że ostatnio jej uczucia nieco ostygły. Chociaż to ona pierwsza zaproponowała Pete'owi, by ze sobą chodzili, teraz wszystko wyglądało inaczej niż na początku. Czasem Pete umawiał się, że wpadnie po nią do domu, a kiedy przyjeżdżał, okazywało się, że dziewczyna akurat wyszła z przyjaciółką na zakupy. Uczucia Pete'a nie zmieniły się jednak, gdyż podejrzewał, że Kelly jest przywiązana do niego tak jak zawsze, tyle że na swój sposób. Niemniej jednak czas uciekał, a on marnował wakacje na jałowych oczekiwaniach, zamiast uprawiać surfing czy ćwiczyć karate.

Jupiter czynił nadludzkie wysiłki, by schudnąć. Miał niecałe metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, a ważył ponad osiemdziesiąt pięć kilogramów. W końcu musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Nie był po prostu krępy. Był... no, może jeszcze nie tłusty, ale jego figura wymagała sporej korekty. Problem polegał na tym, że im więcej Jupe pływał i ćwiczył dzudo, tym bardziej czuł się głodny. Najtrudniej było mu przywyknąć do nowej diety.

W tym tygodniu wypróbował metodę odchudzającą Keila Halfebrota. Polegała ona na spożywaniu surówek i produktów zawierających białko. Ponieważ muskularny Halfebrot wyglądał jak Superman, gdy tymczasem Jupiter przypominał ogromną gruszkę, chłopiec uważał, że warto się pomęczyć.

Pewnego popołudnia Jupe stał przed swoim warsztatem. Znajdował się on na terenie składowego złomu, niedaleko Kwatery Głównej. Ten warsztat był rajem dla majsterkowicza.

Zgromadzono w nim wszystkie narzędzia, niezbędne do wykonania czy naprawy elektronicznych gadżetów, którymi detektywi posługiwali się podczas rozwiązywania kolejnych przypadków.

Teraz też Jupe zajęty był majsterkowaniem. Sprawdzał nowe urządzenie zabezpieczające warsztat: zamek, który otwierał się jedynie na hasło.

Pete przebywał w drugiej części pomieszczenia, gdzie urządził coś w rodzaju warsztatu samochodowego. Kelly po raz drugi w tym tygodniu wystawiła go do wiatru.

Jupe przyłączył ostatnią kostkę silikonową do zamka.

- Uwaga: pies - powiedział.

- Co? - zdziwił się Pete. Kroił akurat płótno przeznaczone na nowy dach do kabrioletu.

- Psiakość! - zdenerwował się Jupiter. - Po tych słowach zamek powinien się otworzyć. Uwaga: pies - powtórzył głośniej.

- Zdecyduj się w końcu: pies czy jego kość - poradził Pete, krążąc wokół przyjaciela.

Jupiter zrobił głupią minę i chciał coś powiedzieć, kiedy w warsztacie zadzwonił telefon. Pierwszy Detektyw nawet się nie ruszył, by go odebrać, gdyż wiedział, że drugi aparat znajduje się w Kwaterze Głównej. Bob siedział tam przed ekranem komputera i układał ulotkę reklamującą koncert rockowy. Prawdopodobnie telefonuje któraś z jego sympatii z błaganiem o randkę, pomyślał Jupe. Trzeba dać przyjacielowi okazję, by sam podniósł słuchawkę.

Po chwili telefon zamilkł. Pete przestał krążyć wokół Jupitera i wrócił do swojego kanału samochodowego.

Z przyczepy wyszedł Bob.

- Jupe, dzwoniła twoja ciotka.

Zanim przyjaciel zamknął drzwi Kwatery, Jupiter zdążył zobaczyć siedzące wewnątrz trzy niebrzydkie panienki.

- Chce ze mną rozmawiać? - zdziwił się nieco Jupe.

Od śmierci rodziców, którzy zginęli w wypadku samochodowym kiedy Jupiter miał cztery lata, chłopcem zajęli się ciotka Matylda i wujek Tytus. Jupe do tej pory był im wdzięczny za to, że stworzyli mu prawdziwy dom, i bardzo lubił ich oboje. Jednakże teraz, gdy miał siedemnaście lat, nie odgrywali już w jego życiu tak wielkiej roli jak niegdyś.

Parę lat temu wezwania od ciotki Matyldy systematycznie się powtarzały. Zwykle oznaczały jedno: pracę. Ciotka wynajdywała chłopcu nie kończące się zajęcia w składzie złomu. Ostatnio Jupe wprowadził do komputera dane dotyczące inwentarza składu, dzięki czemu uwolnił się od codziennej harówki i telefony ciotki były równą rzadkością jak dziewczyny w życiu Jupitera.

- Nie, chce ci tylko przekazać wiadomość - powiedział Bob - że przyszedł ktoś, kto pragnie z tobą porozmawiać.

- Kto taki? - spytał Jupe.

- Nazywa się Rice. - Bob uśmiechnął się. - Ma to jakiś związek z naszym konkursem.

- Naprawdę? - Zainteresowanie Jupitera wzrosło. Nie zapomniało konkursie; zawsze o wszystkim pamiętał. Gubienie zbędnych kilogramów tak go jednak zaabsorbowało, że ostatnio niewiele myślał o czymkolwiek innym.

Nareszcie będzie mógł się przekonać, kto postanowił ufundować kosztowną nagrodę w zamian za rozwiązanie głupawej krzyżówki.

Trzej Detektywi doszli do wniosku, że wszyscy powinni się spotkać z panem Rice'em, więc opuścili Kwaterę Główną i poszli w stronę domu Jonesów. Kiedy zbliżali się do niego, na ganku pojawił się jakiś mężczyzna.

Był wysoki i szczupły, zdaniem Jupitera mógł mieć około czterdziestki. W robionych na miarę kowbojskich butach, markowych dżinsach i kosztownym, przekrzywionym stetsonie na głowie wyglądał jak lalusz. Mężczyzna zdjął kapelusz i pomachał nim na powitanie.

- Cześć. Jestem Dustin Rice.

Obrzucił każdego z chłopców uważnym spojrzeniem.

- No to który z was jest tym szczęściarzem? - spytał. - Nie, lepiej nic nie mówcie. Zobaczymy, czy zgadnę.

Jestem ciekaw, jak brzmi twój głos - zwrócił się z uśmiechem do Pete'a. - Powiedz, ot tak, dla żartu...- zawahał się przez chwilę - "Kierunek: Meksyk, południowa granica".

Pete niechętnie powtórzył usłyszane słowa. Pan Rice nie zrobił na nim najlepszego wrażenia.

Dustin Rice potrząsnął głową i skinął kapeluszem w stronę Boba.

- Teraz ty.

- Warunek: wieprzek, gęba jak donica - powiedział Bob. Nie lubił gadać bez sensu, a poza tym nie zamierzał słuchać poleceń apodyktycznego kowboja.

Dustin Rice zdobył się na wymuszony uśmiech. Spojrzał uważnie na Jupe'a. Jupe popatrzył na niego.

Pierwszy Detektyw pomyślał, że mężczyzna udaje kogoś innego, niż jest naprawdę. Jego wesoły uśmiech i serdeczne zachowanie były sztuczne. Przypominał Jupe'owi człowieka balansującego na linie, który starannie planuje następny krok.

- Mógłbyś powtórzyć zacytowane przeze mnie zdanie? Chciałbym usłyszeć, jak je wymawiasz. - Rice nie tracił czasu.

- Kierunek: Meksyk, południowa granica. Dustinowi Rice'owi załśniły oczy. Wyraźnie podniecony podszedł do Jupitera i potrząsnął jego dłonią.

- Przyjaciele mówią na mnie "Dusty" - powiedział. - Z pewnością jesteś Jupiterem Jonesem. Twoja ciotka poinformowała mnie, że wołają na ciebie "Jupe". Z przyjemnością zawiadamiam, że wygrałeś główną nagrodę w konkursie. - Uśmiechnął się szerzej. - Spędzisz za darmo dwa tygodnie na moim ranchu. Nie mogę się doczekać, kiedy przyjedziesz do Meksyku i...

Zawiesił głos, speszony zachowaniem Jupitera, który uniósł ręce jak policjant kierujący pojazdami na ruchliwym skrzyżowaniu.

Niezbyt wysoki, tęgawy chłopiec nie miał zbyt imponującej postawy, lecz umiał przejąć panowanie nad sytuacją zawsze, kiedy mu na tym zależało.

Teraz przyszedł właśnie taki moment. Dustin Rice uważał pewnie, że życiowym marzeniem Jupitera jest siedzenie przez dwa tygodnie na jakimś odludziu i objanie kości na końskim grzbiecie. Chłopiec postanowił go pozbawić tych złudzeń. Zanim zgodzi się przyjąć nagrodę, szanowny właściciel rancza musi najpierw odpowiedzieć na kilka pytań.

- No to strzelaj - zgodził się Dusty, kiedy usłyszał żądanie Jupitera. - Pytaj mnie, o co tylko chcesz.

- Kto jeszcze mógł otrzymać tę główną nagrodę?

- Nikt więcej. Jesteś jedynym zwycięzcą.

- Tylko ja podałem wszystkie prawidłowe odpowiedzi?

Dusty zawahał się przez moment.

- Oczywiście - odparł.

Jupiter zamyślił się. Wiedział, że to kłamstwo. Pete i Bob wysłali dokładnie takie same rozwiązania jak on. Dlaczego Dusty ukrywał prawdziwy powód, który kazał mu wytypować Jupe'a jako zwycięzcę? Dlaczego żadna dziewczyna nie mogła wziąć udziału w konkursie i wygrać? Postanowił chwilowo nie zawracać sobie tym głowy. Kiedy zdobędzie więcej informacji, odpowiedzi przyjdą same.

- Kto finansuje nagrodę? - zapytał Dustina.

- Ja. .

- Dlaczego pan to robi?

- Dla reklamy. - Dustin Rice z powrotem włożył stetsona. W kapeluszu najwyraźniej czuł się bardziej pewny siebie. - Zamierzam przekształcić ranczo w letni obóz dla chłopców w

waszym wieku. Mam nadzieję, że w niedzielnych gazetach znajdę kilka pochlebnych wzmianek na temat konkursu.

Wyjaśnienie zabrzmiało niby dość sensownie, pomyślał Jupe. Coś tu jednak nie grało.

Chłopiec miał już zadać kolejne pytanie, kiedy na chwilę jakiś hałas rozproszył jego uwagę. W stronę domu zbliżał się niebieski chevrolet. Zwolnił nieco i Jupe pomyślał, że samochód zamierza się zatrzymać. Kierowca musiał jednak dodać gazu, gdyż wóz pomknął naprzód i znikł z pola widzenia. Promienie słoneczne odbijały się od szyby i Jupiter nie widział dokładnie człowieka siedzącego za kierownicą, mógł tylko założyć, że była to kobieta. Blondynka w ciemnych okularach.

- Powiedzmy, że przyjmę tę nagrodę - zwrócił się do Dusty'ego. - Czy mogę wtedy zabrać ze sobą do Meksyku dwóch przyjaciół?

Dustin zmarszczył brwi.

- Chodzi ci o to, czy również za nich zapłacę? - upewnił się.

- Tak, dokładnie o to - odparł stanowczo Jupiter.

Dusty zdjął stetsona i w zamyśleniu obracał go w dłoniach. Zaczął mówić o cenach biletów autobusowych, jedzenia...

Jupiter pozwolił mu się wygadać. Już podjął decyzję, że odrzuci nagrodę, jeśli przyjaciele nie będą mogli być na ranchu wraz z nim. Przeczował, że szykuje się obiecująca sprawa dla Trzech Detektywów, a przecież byli zespołem, który zawsze działał razem.

Dusty ciągle mówił o pieniądzach, dodając, jak wiele to by kosztowało, gdyby przyjaciele Jupitera...

- Wobec tego obawiam się, że będzie pan musiał poszukać innego zwycięzcy - przerwał mu Jupe.

Dusty dreptał w miejscu, patrząc na czubki szytych na miarę butów.

- No cóż, niech ci będzie - zgodził się. - Zgadzam się gościć również twoich przyjaciół.

Bob trącił Jupe'a w ramię.

- Zróbmy dziesięć minut przerwy - zaproponował.

Opuścił werandę, a za nim pozostali dwaj chłopcy.

- Naprawdę chcesz się w to bawić, Jupe? - zapytał, kiedy był pewien, że Dusty już ich nie słyszy.

Jupiter rzeczywiście chciał pojechać na ranczo. Czyż mógłby sobie darować rozwiązanie ciekawej zagadki?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - odparł. - Coś się za tym kryje, skoro facet bez zmrużenia oka gotów jest płacić za potrójne wakacje. Nie chcecie się dowiedzieć, dlaczego?

- No cóż... - Bob ciężko pracował w ciągu ostatnich kilku tygodni. Poczł, że odmiana dobrze mu zrobi. Tuż po koncercie rockowym Sax wybierał się na wycieczkę na Hawaje, a pod nieobecność szefa nic nie trzymało Boba w Kalifornii. Najwyżej straci kilka lekcji karate.

- W porządku, wchodzę do gry - powiedział. - Kiedy tylko zechcesz, byle po czwartkowym koncercie.

Jupe i Bob spojrzeli na Pete'a. Teraz wszystko zależało od niego.

- Sam nie wiem... - wahał się chłopiec. - Trochę się boję, że kiedy wyjadę z miasta, Kelly całkiem o mnie zapomni.

- Może również za tobą tęsknić - zauważył Bob.

- Niby tak. - Pete przypomniał sobie sentencję z jakiejś okolicznościowej kartki pocztowej: Rozstania i odległości rozpalają płomień prawdziwej miłości. Wizja Kelly, w której "rozpali się płomień", Kelly, która już nigdy nie wystawi go do wiatru, wydawała się chłopcu bardzo nęcąca.

- No dobrze. Będę wysyłał jej pocztówki i upominki na znak, że żyję i pamiętam o niej.

Dustin Rice nie umiał ukryć ulgi, kiedy Trzej Detektywi po powrocie z narady oznajmili mu, że gotowi są jechać na ranczo.

Wręczył im mapę północnego Meksyku, pokazując, jak mają dotrzeć do Lareto. Właśnie to miasto leżało najbliżej rancza, na którym mieszkał. Po krótkich targach dał również chłopcom sześćset dolarów na pokrycie wydatków w czasie podróży. Zapisał im także swój numer telefonu, by po przekroczeniu granicy zadzwonili do niego, to odbierze ich z Lareto.

Ustalili wszystkie szczegóły i ranczer wsiadł do dżipa z meksykańską rejestracją, a trzej przyjaciele wrócili do swoich zajęć.

Następnego dnia wczesnym rankiem Jupiter jak zwykle poszedł do skrzynki pocztowej, stojącej na końcu podjazdu przed domem. Wuj Tytus otrzymywał dużo, jak to nazywał żartobliwie, "papierowego złomu" - zawiadomień o sprzedaży odpadów metalowych i innych zużytych przedmiotów, mogących go zainteresować.

Jupiter przeglądał przesyłki, aż trafił na grubą kopertę, w której wyczuł jakiś twardy, prostokątny przedmiot. Adresowana była do niego. Nadawca nie podał swoich danych i nie nakleił znaczka. Musiał osobiście wrzucić kopertę do skrzynki.

Chłopiec zabrał przesyłkę do warsztatu i tam otworzył. Wewnątrz znajdowała się kasetka magnetofonowa, pozbawiona jakiegokolwiek informacji, co jest na niej nagrane.

Jupiter włożył kasetę do magnetofonu i nacisnął przycisk odtwarzania. Na początku usłyszał jedynie szum przewijającej się taśmy, po czym jakiś męski głos powiedział wyraźnie i stanowczo:

- Nie przyjeżdżaj do Meksyku, bo narazisz się na ogromne niebezpieczeństwo. Błagam: nie zjawiaj się tam. Pozostań w Kalifornii... - głos się urywał.

To wszystko. Jupe przesłuchał kasetę do końca, dalej była pusta.

Chłopiec usiadł w fotelu obrotowym i zaczął rozmyślać. Wiadomość sama w sobie mogła wzbudzić niepokój. "Narazisz się na ogromne niebezpieczeństwo". Ale było coś, co jeszcze bardziej go w niej intrygowało. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że już kiedyś słyszał ten głos. Brzmiał jakoś dziwnie znajomo.

Kiedy kilka minut później Pete podjechał do warsztatu, Jupe poprosił go o przesłuchanie kasety. Wyjaśnił, gdzie ją znalazł, a potem pozwolił przyjacielowi zapoznać się z jej treścią.

Ku zdziwieniu Jupe'a Pete wybuchnął śmiechem.

- To ma być jakiś dowcip? - spytał.

- Jaki dowcip?

- Od kiedy sam sobie przesyłasz wiadomości?

- Przecież nie wysłałem tej kasety. Powiedziałem ci, że znalazłem ją w skrzynce pocztowej.

- Czyli ktoś zrobił kawał, naśladowując twój głos.

- Mój głos? - zdziwił się Jupe.

- No jasne. Założyłbym się nawet o kabriolet, że to ty wypowiedziałeś nagrane na kasecie zdania.

ROZDZIAŁ 3

PRZEŻYĆ TĘ PODRÓŻ

Jupiter siedział przy oknie w starym, poobijanym autobusie i obserwował mijany meksykański pejzaż.

Pierwotnie Trzej Detektywi zamierzali jechać na rancho Dustina Rice'a kabrioletem Pete'a, lecz w Amerykańskim Związku Motorowym poinformowano ich, że w Meksyku są kłopoty z kupnem benzyny bezołowiowej, a ołowiowa zniszczyłaby katalizator w MG. By nie łamać przepisów obowiązujących na drogach Kalifornii, Pete musiałby po powrocie kupić nowy katalizator, a to kosztowałoby co najmniej trzysta dolarów.

- Odpada - stwierdził Drugi Detektyw. - Kiedy wrócimy, będę potrzebował forsy, by zaprosić Kelly tu i tam. Przynajmniej się ucieszy, że już jestem.

Pete odmówił również jazdy na tylnym siedzeniu małego volkswagena Boba. Wizja setek kilometrów, które musiałby pokonać w charakterze sardynki w puszcze, zupełnie mu się nie uśmiechała. W końcu trzej chłopcy postanowili skorzystać z tanich meksykańskich autobusów. Ten wariant podsunął im Dusty.

Jupe nałożył koszulkę z napisem w języku hiszpańskim: "Witajcie, jestem przyjacielem". Miał nadzieję, że dzięki temu tubylcy odważą się z nim rozmawiać i będzie mógł wykorzystać w praktyce swój całkiem niezły hiszpański.

Pierwszy Detektyw odwrócił się na twardym plastikowym siedzeniu, by popatrzeć na siedzących z tyłu przyjaciół. Bob czytał wydaną w broszurowej oprawie historię Meksyku, którą zabrał ze sobą na drogę. Miejsce obok niego zajęła oszołamiająca piękna młoda Meksykanka. Wpatrywała się w chłopca z nadzieją, że przerwie lekturę i porozmawia z nią. Ten to ma szczęście, pomyślał Jupe.

Pete jakimś cudem zdołał wsunąć swoje długie nogi pod przednie siedzenie i zasnął snem sprawiedliwych.

Bob i Pete także mieli na sobie nowe podkoszulki. Na piersi Boba widniał napis "The Survivors". Tak nazywał się jeden z promowanych przez Saxa Sendlera zespołów rockowych.

Na podkoszulku Pete'a były wydrukowane dwa słowa: Kelly Madigan. Dostał ten podkoszulek od Kelly na pożegnanie, z prośbą, by o niej nie zapomniał. Gest dziewczyny sprawił Pete'a w zdziwienie. Czyżby ona również zamierzała o nim pamiętać?

Jupe zaczął się przypatrywać kobiecie, siedzącej za Bobem. Nie różniła się niczym od innych jadących autobusem meksykańskich wieśniaczek. Miała brązową skórę, ubrana była w bawełnianą bluzkę i wełnianą spódnicę. Spod czerwonego szala, który narzuciła na głowę, zwisały dwa długie, czarne warkoczyki. Jupe po raz pierwszy zauważył ją na dworcu autobusowym w Santa Monica, i chociaż od tamtej pory Trzej Detektywi już dwukrotnie po przekroczeniu granicy przesiadali się, kobieta ciągle im towarzyszyła.

Bob odłożył na bok książkę i zajął się rozmową z młodą Meksykanką. Z radością odkrył, że dziewczyna mówi po angielsku.

- Niestety, mój hiszpański jest raczej kiepski - usprawiedliwił się. - Znam jedynie kilka podstawowych zwrotów.

- Jak ci się podoba Meksyk? - zapytała.

- Jest wspaniały.

- Dlaczego tak uważasz?

- Jak ci to wytłumaczyć... - zastanawiał się Bob. - Stany Zjednoczone można porównać do wielkiej orkiestry symfonicznej. Wszyscy muzycy znają swoje partie, mają własne partytury i wiedzą, kiedy muszą się włączyć do gry. Można przewidzieć cały przebieg koncertu.

- A w Meksyku? - podsunęła z uśmiechem dziewczyna.

- Meksyk przypomina raczej sesję jazzową. Każdy zaczyna improwizować w dowolnym momencie. Nie chodzi mi o sposób, w jaki jeżdżą tutejsi kierowcy, ale o to, że autobusy zatrzymują się w samym środku bezludnej okolicy i pasażerowie wysypują się z nich gromadnie, po czym po prostu znikają na pustyni.

- Udają się na swoje farmy - wyjaśniła dziewczyna. - Czasem muszą pokonać dystans prawie dziesięciu kilometrów.

- Ale wyglądają, jakby im to wcale nie przeszkadzało - odparł Bob. - Śmieją się i gadają ze sobą. Można by pomyśleć, że właśnie udają się na prywatkę.

- Może i masz rację. - Dziewczyna zamyśliła się. - Przez kilka lat mieszkałam w Ameryce. Życie jest tam co prawda łatwiejsze, ale za to w Meksyku ludzie wydają się bardziej pogodni.

Autobus zatrzymał się w małym miasteczku. Jupe rzucił okiem na mapę i dał znak Pete'owi i Bobowi, że znowu czeka ich przesiadka.

Bob pożegnał się z młodą Meksykanką i zdjął z półki podręczny bagaż. Bilety autobusowe sprzedawano w małej kafejce, mieszczącej się przy ruchliwej ulicy. Trzej przyjaciele udali się tam niezwłocznie.

- Umieram z głodu, Bob! - zawołał Pete, kiedy usiedli przy stole.

Pete i Bob zamówili wołowinę w cieście z ryżem i fasolą. Jupiter się zawahał. Nie mógł w Meksyku przestrzegać swojej nowej diety. Dusty ostrzegał ich, by w czasie podróży nie jedli sałatek i nie gotowanych jarzyn. Ale ryż i fasola! To tak, jakby sam się prosił, by przytyć parę kilogramów.

Pierwszy Detektyw zdecydował się w końcu na dwie zawijane tortille nadziewane mięsem z kurczaka. Kurczak był mniej tuczący niż wołowina; chłopiec miał również nadzieję, że tortilla nie zawiera tyle skrobi co chleb. Danie było jednak mocno przyprawione ostrym pieprzem chili.

- Język mi płonie - skarżył się Jupe, gdy po opuszczeniu kawiarni wracali do autobusu.

Nagle przed Jupiterem wyrósł mężczyzna w podartej skórzanej kurtce. Nieznajomy mógł mieć około dwudziestu lat, był wysoki i potężnie zbudowany.

- Brak miejsc - powiedział, odpychając brutalnie chłopca. - Nie pojedziecie tym autobusem.

Detektywi wymienili zdziwione spojrzenia. Meksykanie, których dotąd spotykali, byli do nich tak przyjaźnie nastawieni.

Jupe zauważył, że połowa miejsc w autobusie nie jest jeszcze zajęta. Najgrzeczniej, jak umiał, wyjaśnił to po hiszpańsku agresywnemu Meksykaninowi.

Tym razem mężczyzna uderzył Jupitera pięścią w klatkę piersiową.

- Miejsc nie ma - powtórzył z uporem. - Wynoście się stąd wszyscy trzej i wracajcie do Stanów. Nikt was tu nie chce.

- Ani mi się śni wracać - oświadczył stanowczo Jupe. - Zamierzam pojechać tym autobusem, więc proszę zejść mi z drogi.

Zamiast usunąć się na bok, mężczyzna w skórzanej kurtce chwycił Jupitera za ramiona i przyciągnął go do siebie.

- Spadaj albo rozwalę ci łeb - zagroził.

W ciągu minionych kilku tygodni Jupiter szczególnie ostro trenował dzudo, z nadzieją, że straci na wadze, i zrobił całkiem niezłe postępy. Nie miał jednak złudzeń, że mógłby być godnym przeciwnikiem w walce z młodym, muskularnym Meksykaninem. Zanimby go chwycił, mężczyzna zdążyłby mu wybić połowę zębów. Szybko więc wyswobodził się z uścisku i zrobił krok do tyłu, by uniknąć ciosu.

Pete i Bob usiłowali śledzić prowadzoną po hiszpańsku rozmowę, ale w tym momencie Drugi Detektyw nie miał już wątpliwości, co się dzieje.

- O co chodzi? - spytał, stając obok Jupitera.

Jupe wyjaśnił, że mężczyzna w skórzanej kurtce nie chce ich wpuścić do autobusu.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może nie lubi jankesów.

- Rozumiem - powiedział wesołym tonem Pete. Unosząc się na palcach, lekkim krokiem ruszył ku młodemu mężczyźnie. Meksykanin zamachnął się i gdyby jego pięść

wylądowała na twarzy Pete'a, chłopiec leżałby jak długi na ziemi. Drugi Detektyw zdążył jednak uprzedzić napastnika. Kiedy ten uniósł rękę, Pete zadał mu cios tuż poniżej ramienia. Shuto-uchi okazał się skuteczny. Ręka mężczyzny na moment zastygła w powietrzu jak sparaliżowana, po czym wolno opadła. Meksykanin odruchowo chwycił się za ramię drugą, sprawną ręką. Zdumiony popatrzył Pete'owi w oczy.

Chłopiec czekał w postawie bojowej, na lekko ugiętych nogach. Meksykanin przestraszył się. Ciągle trzymał się za ramię, próbując je usprawnić.

Pete uniósł prawą rękę, gotów zadać następny cios.

- No już dobrze, wystarczy - zamruczał po hiszpańsku młody napastnik, potrząsając głową. - Nie dam sobie złamać karku nawet za milion pesos.

Oddalił się z miejsca zajścia, ciągle kręcąc głową. Jupiter czknął. Głośny śmiech Pete'a i Boba rozładował napięcie. Pierwszy Detektyw zaczerwienił się.

- Kurczaczek wraca? - dokuczał koledze Bob.

- Lepiej już chodźmy - powiedział Pete. - Nasz autobus zaraz odjeżdża.

Trzej Detektywi wsiedli do środka. W kawiarni nie widzieli kobiety w czerwonym szalu, za to teraz dostrzegli ją na jednym z tylnych siedzeń. Zauważyli, że wyjęła z portmonetki wielką garść pesos i wręczyła je komuś przez okno. Wyciągnęła się po nie ciemna dłoń. Kiedy zacisnęła się na monetach, chłopcom mignął w przelocie rękaw skórzanej kurtki.

Autobus ruszył.

Zaczął się ostatni etap długiej podróży Trzech Detektywów. Chłopcy zapadli w niespokojną drzemkę. Nie mogli porządnie zasnąć, gdyż w każdej z mijanych miejscowości autobus przetaczał się poprzez ułożone w poprzek szosy betonowe garby wysokości około trzydziestu centymetrów. Przeszkody, na których pojazd niemiłosiernie podskakiwał, miały uniemożliwić kierowcom rozwijanie nadmiernych prędkości podczas przejazdu przez miasto, a pasażerom zbyt głębokie zasypianie. Chłopcy męczyli się tak przez całą noc.

Do Lareto dotarli mniej więcej o dziewiątej rano. Autobus zatrzymał się na niewielkim placu. Stała na nim estrada, otoczona drzewami i kępami krzaków.

Tuż po przekroczeniu granicy meksykańskiej chłopcy zgodnie z umową zatelefonowali do pana Dusty'ego, czekał więc na nich teraz w dżipie, wyraźnie zadowolony z ich przyjazdu. Dziwnie się jednak niecierpliwił. Pomógł swoim młodym gościom upchnąć szybko bagaże w samochodzie, a potem w czasie jazdy bez przerwy powtarzał, że wkrótce znajdą się na ranczu. Najchętniej chyba dotarłby tam rakieta.

Kiedy ruszali z placu, Jupiter spojrzał za siebie.

Na chodniku stała kobieta w czerwonym szalu i patrzyła w ślad za odjeżdżającym dżipem. Jupe pomachał jej dłonią, ale nie zareagowała na ten przyjacielski gest.

Nie miał jej tego za złe. Rozumiał wzburzenie Meksykanki. W końcu, jak podejrzewał, dała kilka tysięcy pesos jakiemuś typowi w skórzanej kurtce, by powstrzymał Trzech Detektywów przed przyjazdem do Lareto.

A jednak dojechali.

ROZDZIAŁ 4

BLONDYNKA DLA JUPITERA

Dojazd na rancho zajął im dwie godziny. Jechali głównie polną drogą, która wiała się między zalesionymi wzgórzami. W oddali widać było pasmo wysokich gór. Dusty wyjaśnił, że to łańcuch Sierra Madre. Bob przypomniał sobie stary film, który widział w telewizji.

- To właśnie tam, w górach Sierra Madre, Humphrey Bogart i jego kompani znaleźli skarb, prawda? - spytał z uśmiechem.

Dusty potraktował żarcik Boba niezwykle poważnie.

- "Skarb z Sierra Madre" to tylko film - zaznaczył. - Naprawdę w tych górach nie ma żadnego skarbu.

Bob puścił oko do Pete'a.

Wkrótce potem dotarli na rancho. Niski, długi drewniany budynek mieszkalny stał na rozległej łące, opadającej ku jezioru. Jedynie kilka pasących się na niej koni świadczyło o tym, że toczy się tu jakieś życie.

Pete popatrzył na jezioro. Oceenił, że może mieć około pięciu - sześciu kilometrów długości i kilometr szerokości. Powinno być wspaniałym miejscem do łowienia ryb, pomyślał, zadowolony, że zabrał ze sobą sprzęt wędkarski. Po drugiej stronie jeziora nie widać było żadnych domów, jedynie kępy drzew. Ponad ich wierzchołkami sterczało jednak coś, co przypominało wieżę starego kościoła, musieli więc mieszkać tam jacyś ludzie.

Dusty zaprowadził gości na werandę, z której weszli do ogromnego pokoju z otwartym kominkiem i wygodnymi krzesłami.

- Pewnie jesteście głodni, prawda? - spytał.

- Czyta mi pan w myślach - przyznał Pete.

Dusty klasnął w dłonie i niemal natychmiast w sklepionym przejściu w końcu pokoju pojawił się jakiś Meksykanin.

- To jest Ascención - powiedział Dusty. - Zatrudniam go jako kucharza.

Pan Dustin Rice nie uznał za stosowne przedstawić Meksykaninowi swoich gości.

Ascención miał około pięćdziesięciu lat, krzepką postać, ciemną, pobrużdżoną twarz i proste czarne włosy. Ubrany był w kowbojskie buty, dżinsowe spodnie i koszulę. Bardziej wyglądał na pracownika rancza niż kucharza, pomyślał Jupe.

Dusty powiedział coś szybko po hiszpańsku. Jupe wychwycił słowa "śniadanie" i "natychmiast". Ascención pokiwał głową. Jego brązowe oczy były bardzo ciemne, niemal czarne. Bob zwrócił uwagę, że Meksykanin ucieka wzrokiem przed swoim pracodawcą. Napięcie między tymi dwoma mężczyznami przypominało chłopcu rywalizację między gwiazdami rocka.

Ascención okazał się wspaniałym kucharzem. Wkrótce przyniósł duży talerz jajek na szynce, kartoflanych kulek smażonych w oleju i koszyk pełen gorących bułeczek. Pete i Bob z apetytem zabrali się do jedzenia wszystkiego, co było na stole. Jupe ograniczył się do szynki i jajek. Według Keila Halfebrota mógł bezkarnie dostarczać organizmowi protein, natomiast za wszelką cenę musiał unikać węglowodanów.

Dusty siedział przy długim stole wraz z gośćmi, ale niczego nie jadł. Wyraźnie czekał ze zrobieniem czegoś, aż chłopcy skończą posiłek. Coś go niepokoiło.

- Najedliście się? - spytał, kiedy Pete przełknął ostatnią porcję.

- Tak. Wszystko było wspaniałe - pochwalił Drugi Detektyw. Gotów był pochłonąć kolejny talerz smakowitości, ale Dusty już ruszył do drzwi.

- Chodźcie za mną - zawołał. - Oprowadzę was po ranczu.

Po wyjściu z domu od razu skierował się w stronę rozległego, ogrodzonego pola. Stała na nim niewielka drewniana szopa.

- Chcecie zobaczyć mojego burro - powiedział. Było to stwierdzenie, nie pytanie. Zaprowadził chłopców do szopy. Zanim do niej doszli, ze środka wybiegł mały osiołek, przez Meksykanów zwany burro, i odskoczył od przybyszów, spłoszony ich obecnością.

Poza czarnym pasemkiem z tyłu grzbietu i na karku, zwierzę miało sierść tak jasną, że aż niemal białą. Nerwowo poruszało ogromnymi uszami i długim, gęstym ogonem. Przednie nogi osiołka były spętane liną, więc choć palił się, by pognać przed siebie, poruszał się krótkimi, niepewnymi krokami.

Pete, który od razu lubił każde zwierzę, jakie poznał, szybko ruszył w stronę osiołka. Wyciągnął rękę, by poklepać stworzenie po szyi, lecz Dusty go powstrzymał.

- Nie dotykajcie jej i nic nie mówcie - zwrócił się szeptem do chłopców. - Jest bardzo młoda, ma niecałe dwa lata i jeszcze nie została oswojona.

Oślica zdążyła się oddalić o kilka metrów. Gwałtownie wierzgała tylnymi nogami, jakby chciała ostrzec przybyłych, by znanadto się do niej nie zbliżali.

- W tych górach żyje wiele dzikich osiołków. Ta mała przybłąkała się tutaj kilka miesięcy temu i postanowiłem ją zatrzymać - wyjaśnił Dusty. - Nazwałem ją Blondie. Łatwo się domyślić, dlaczego.

Spojrzał na Pete'a.

- Jeśli chcesz, możesz ją teraz przywołać. Powiedz po prostu: Chodź tu, Blondie. Zobaczymy, jak zareaguje.

Znowu facet zaczyna nas traktować jak kilkuletnie dzieci, pomyślał z oburzeniem Pete. Poucza nas, co mamy mówić. Chłopiec jednak naprawdę lubił małe zwierzęta, więc zawołał łagodnym głosem:

- Chodź tu, Blondie. Chodź tu.

Oślica położyła uszy, tak że niemal dotykały karku. Pete nauczony doświadczeniem z końmi wiedział, że oznacza to obawę lub złość. Ponownie zawołał zwierzę, ale Blondie jedynie odskoczyła na jeszcze większą odległość.

- Teraz ty spróbuj - Dusty zwrócił się do Boba.

- A po co? - Chłopiec wzruszył ramionami. - Żebym wyszedł na głupka?

- Może masz rację. - Dusty uśmiechnął się najmilej, jak potrafił, i spojrzał na Jupe'a. - Spróbujesz ją przywołać? - zapytał uprzejmie.

Jupe miał obojętny stosunek do zwierząt, w związku z czym było mu wszystko jedno, czy oślica przyjdzie na jego zawołanie, czy też nie. Zaciekało go jednak zachowanie Dusty'ego. Rancier gwałtownie ścisnął chłopca za ramię, w oczach miał niepokój. Eksperyment z osiołkiem najwyraźniej miał dla niego duże znaczenie. Jupiter postanowił się dowiedzieć, o co chodzi. Wswobodził się z uścisku i zawołał:

- Chodź tu, Blondie.

Efekt był zadziwiający. Oślica natychmiast zaczęła kręcić łbem. Popatrzyła prosto na Jupe'a. Ściągnęła uszy, po czym wystawiła je do przodu.

- Nie do wiary! - zawołał Pete.

- Jeszcze raz - szepnął podniecony Dusty. - Powiedz to jeszcze raz.

- Chodź tu, Blondie.

Tym razem w głosie Jupitera brzmiało wyraźne zainteresowanie.

Oślica szarpnęła liną, która pętała jej przednie nogi, i tak szybko, jak tylko mogła, pokłusowała w stronę chłopca. Zatrzymała się niecałe pół metra od niego i wyciągając szyję, trąciła go delikatnie nosem w klatkę piersiową.

- Zakochała się w tobie, przyjacielu! - Bob klepnął Jupe'a po plecach. - Jak tego dokonałeś? Ledwie trzy słowa i już oszalała na twoim punkcie.

Jupiter cofnął się. Reakcja osiołka na jego komendę naprawdę go zdziwiła. Poczul się też zakłopotany żartami Boba.

- Pogłaskaj ją. - Dusty znowu chwycił Jupe'a za ramię. - Zobaczymy, co zrobi, gdy jej dotkniesz.

Jupiter z czystej ciekawości wyciągnął rękę i pogłaskał Blondie po szyi. Znowu postawiła uszy i trąciła nosem pierś chłopca.

Dusty puścił ramię Pierwszego Detektywa. Śmiał się jak człowiek, który właśnie wygrał pierwszą nagrodę w teleturnieju.

- Założę się, że nawet pozwoli ci dosiąść swego grzbietu. Spróbuj - zachęcił Jupitera. - Możesz się nie obawiać. Mimo młodego wieku jest bardzo silnym zwierzęciem i bez trudu udźwignie twój ciężar.

Chłopiec zawahał się. Nie miał szczególnej ochoty jeździć na ośle, jednak na widok podniecenia, w jakie wpadł Dusty po nieoczekiwanej reakcji Blondie na jego komendy, przyszło mu do głowy wiele pytań. Działo się tu coś, czego nie rozumiał, a jako detektyw musiał szukać odpowiedzi w różny sposób.

Przerzucił prawą nogę przez grzbiet oślicy i usiadł na niej okrakiem. Blondie odwróciła głowę i popatrzyła na niego swymi ogromnymi, łagodnymi oczami. Uszy miała sztywno wyprostowane. Najwyraźniej spodobał jej się pomysł wozenia tego akurat jeźdźca.

- Powiedz: naprzód - wyszeptał niecierpliwie Dusty.

Kiedy Jupe usłyszał to słowo, coś mu się przypomniało.

- Naprzód, Blondie - zawołał. - Naprzód.

Oślica niezgrabnie pokłusowała przed siebie. Musiał dobrze się trzymać jej szyi, by nie spaść. Postanowił zrobić mały eksperyment, by sprawdzić, czy pamięć nie płata mu figla.

- Prr, Blondie! - krzyknął.

Oślica zatrzymała się posłusznie.

- Wyraźnie cię zaakceptowała - stwierdził Dusty, kiedy Pierwszy Detektyw zsiadł z grzbietu Blondie.

- Twój zwierzęcy magnetyzm tak ją przyciąga - zakpił Pete. - Zawsze działa na blondynki.

- Bardzo śmieszne - powiedział Jupiter. - Może przypominam jej kogoś? - Popatrzył pytającym wzrokiem na Dusty'ego.

- Jakim cudem? - Dusty pokręcił głową. - Ta oślica była całkiem dzika, kiedy się tu przybłąkała. Nie zna innych ludzi poza mną i Ascencjónem. A ty nie jesteś podobny do żadnego z nas.

- Rzeczywiście wyglądam zupełnie inaczej niż pan - przyznał Jupe.

Zaczął skubać dolną wargę, co robił zawsze wtedy, kiedy się nad czymś głęboko zastanawiał. Był przekonany, że ten odruch pomaga mu w myśleniu.

Skubał wargę jeszcze pół godziny później, siedząc na posłaniu w ogromnym, komfortowo urządzonej pokoju, który dzielił z dwoma przyjaciółmi. Wyglądał przez okno. Biała oślica stała na polu blisko ogrodzenia. Patrzyła w stronę domu i ryczała łagodnie, jakby prosiła Jupe'a, by przyszedł do niej i znowu ją głaskał.

- Blondie! - krzyknął nagle Pete, zajęty składaniem wędki. - Żona Dagwooda z komiksu! "Blondie" było jedną z odpowiedzi na hasła krzyżówki.

- Tak - zgodził się Jupe. - Ale nie jedyną.

- Jak to? - spytał Bob. Rozpakowywał podręczną torbę i układał porządkie w szufladzie parę zapasowych dzinsów. - Może wobec tego poznamy odpowiedź na pytanie, czemu ta blondynka uległa twemu nieodpartemu urokowi?

Jupe zignorował złośliwą uwagę przyjaciela.

- Przypomnijcie sobie słowa, którymi Dusty kazał nam przywołać osiołka. Wszystkie były odpowiedziami na hasła krzyżówki.

- Naprawdę? Które? - zapytał Pete.

Jupe oparł się o ścianę i przymknął oczy.

- Chodź, tu - zaczął wyliczać. - Naprzód, prr. Blondie słuchała wszystkich tych poleceń.

Bob podszedł do łóżka, usiadł i zamyślił się.

- Rzeczywiście wpadłeś na jakiś trop, Jupe - przyznał. - Kiedy jednak Pete przywoływał Blondie tymi samymi słowami, w ogóle nie reagowała.

- Wiem - zgodził się Jupe, tak samo zaintrygowany jak Bob. - Brzmi to nieprawdopodobnie, ale można by pomyśleć, że to małe zwierzę już przedtem gdzieś mnie spotkało. Najwyraźniej rozpoznało mój głos!

ROZDZIAŁ 5

LEŚNY SZPIEG

Po kolacji, na którą Ascención podał smaczne steki z rusztu, Trzej Detektywi poszli wcześniej spać.

Kilka godzin później Jupitera obudził jakiś dziwny odgłos, jakby ktoś pocierał czymś o szybę okienną. Łóżko chłopca znajdowało się w pobliżu okna, więc uniósł głowę i zauważył, że pod dom podeszła Blondie. Ze wszystkich sił próbowała wetknąć nos do środka, mimo iż na przeszkodzie stała jej szklana tafla.

Jupe zamruczał coś cicho i pogroził pięścią oślicy, co nie zrobiło na niej żadnego wrażenia, wcale nie zamierzała odejść. Gdyby Pete i Bob obudzili się i zobaczyli całą scenę, docinkom nie byłoby końca. Ciągle mamrocząc pod nosem, Jupe wstał z łóżka i podszedł do drzwi, które wychodziły wprost na podwórko na tyłach domu. Kiedy tylko je otworzył, Blondie wsunęła łeb do pokoju. Jupiter próbował wypchnąć oślicę na zewnątrz, ale mała bestia była tak nieustępliwa i tak mocno zaparła się kopytami o podłogę, że nie mógł jej ruszyć z miejsca. W końcu prześliznął się obok niej, wyszedł na podwórko i łagodnym głosem zaczął przywoływać zwierzę do siebie.

Na dźwięk swego imienia Blondie natychmiast się odwróciła i pokłusowała w stronę Jupitera. W świetle księżyca chłopiec dostrzegł, że oślica nie ma już spętanych liną przednich nóg i może swobodnie się poruszać. Gdyby Jupiter wrócił do łóżka, prawdopodobnie poszłaby za nim.

Ech, ty mała zarazo, pomyślał, jak mam się ciebie pozbyć? Chyba pozostało mu tylko zaprowadzić ją na pole. Ruszył tam, po czym nagle przystanął.

Z werandy na tyłach domu dobiegły chłopca odgłosy rozmowy prowadzonej po hiszpańsku. Najpierw mówił coś jakiś mężczyzna, potem kobieta. Chociaż Ascención nigdy nie odzywał się, nie pytany, do Dusty'ego, jego młodych gości traktował przyjaźnie. Wykorzystując Jupitera jako tłumacza, zagadywał o Stany Zjednoczone, opowiadał o jeziorze,

ostrzegając chłopców, by nie wazyli się w nim pływać. Wyjaśnił, że górskie wody są lodowato zimne i nikt nie wytrzyma w kąpieli dłużej niż kilka minut.

Teraz Jupe natychmiast rozpoznał poważny głos Ascencióna, lecz stał zbyt daleko, by usłyszeć, co Meksykanin powiedział. Zastanawiając się, do kogo mógł należeć kobiecy głos, Pierwszy Detektyw zbliżył się do miejsca, gdzie stali rozmówcy. Blondie dreptała u jego boku. Jupe głąskał ją po karku, by przypadkiem nie zaryczała.

- Musisz mi pomóc, Ascención - usłyszał słowa kobiety. - Wiesz, co zrobi Rice, jeśli ich odnajdzie. Może ich nawet pozabijać.

Ascención rzucił kilka meksykańskich przekleństw, którymi dosadnie określił ranczera.

- Zgoda. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc - obiecał. - Możesz na mnie liczyć.

Kobieta podziękowała i opuściła werandę. Jupiter szybko się cofnął i skrył w ciemnościach. Zanim kobieta zniknęła za rogiem domu, Jupe dostrzegł w przelocie jej postać. Nieznajoma była odwrócona plecami, więc nie widział twarzy, jednakże promienie księżyca na krótko oświetliły jej blond włosy.

Oślica zaczęła ocierać się o Jupe'a. Zobaczył, że furtka na pole, gdzie zwykle przebywała, jest otwarta. Zaprowadził tam Blondie, zatrzasnął za nią wejście, po czym wrócił na podwórze. Oślica przewiesiła łeb przez ogrodzenie i zaczęła przeraźliwie ryczeć. Jupiter z ulgą stwierdził, że zwierzę nie zdoła przeskoczyć przez płot, więc spokojnie wrócił do łóżka.

Rano szybko poinformował przyjaciół o tym, co wydarzyło się w nocy, i powiedział, że musi odbyć ważną rozmowę telefoniczną. Poprosił Boba i Pete'a, by na kilka godzin wyciągnęli Dusty'ego z domu.

Ascención przyrządził na śniadanie jajecznicę z papryką. Było to jedno z ulubionych dań Jupe'a i nie zawierało skrobi, ale chłopiec grzecznie odmówił zjedzenia czegokolwiek, tłumacząc się lekkim bólem żołądka.

Był to sygnał dla Pete'a. Spytał Dusty'ego, czy mógłby zabrać ich nad jezioro na ryby. Rancier wyraził zgodę. Jupiter oznajmił, że z powodu niedomagania zostanie w domu. Pół godziny później był już na ranczu tylko z Ascenciónem.

Na stole został po śniadaniu talerz pełen świeżych bułeczek. Pachniały tak smakowicie... Jupiter stoczył ze sobą krótką walkę. Poddał się. Chwycił kilka bułeczek i wepchnął je szybko do ust. W końcu musiał coś zjeść, by nie opaść z sił przed lunchem. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu telefonu.

Znalazł aparat w niewielkim biurze Dusty'ego obok salonu. Zamknął za sobą drzwi, usiadł przy biurku i przerzucił książkę telefoniczną, szukając numeru kierunkowego do Kalifornii.

Alfred Hitchcock od razu podniósł słuchawkę. Jupiter poinformował reżysera, gdzie się teraz znajduje, i przeszedł do sedna sprawy.

- Czy mógłby mi pan wyświadczyć przysługę i połączyć się modemem z moim komputerem? - spytał.

Alfred Hitchcock, sławny reżyser filmowy, przyjaźnił się z Trzema Detektywami i zawsze chętnie służył im pomocą. Tym razem również obiecał spełnić natychmiast prośbę Jupitera.

- Wspaniale - odparł chłopiec. - Kiedy zgłosi się komputer, musi pan podać moje hasło. Brzmi ono: ODKRYWCA. Potem proszę przeszukać menu, aż znajdzie pan dojście do encyklopedii.

- Dobrze, jakie hasło cię interesuje?

- Burro - powiedział Pierwszy Detektyw.

- Mógłbyś powtórzyć?

- Burro, to znaczy taki mały osiołek, wykorzystywany jako zwierzę juczne.

- Rozumiem.

Jupiter powiedział, czego chciałby się dowiedzieć o tych osiołkach. Pan Hitchcock zapisał wszystkie pytania i obiecał zadzwonić natychmiast, gdy zdobędzie potrzebne chłopcu informacje.

Oczekując na telefon, Jupiter rozejrzył się po niewielkim biurze. Zwykle dwa razy by się zastanowił, zanim zaczęłyby węszyć w cudzym pomieszczeniu. Zorientował się już jednak, że odkąd Dustin Rice po raz pierwszy zjawił się w jego domu w Rocky Beach, nieustannie kłamał. Trzej Detektywi mieli prawo sami dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

Jupitera dręczyły dziesiątki pytań. Dlaczego właśnie jego rozwiązanie krzyżówki zostało wybrane z wielu prawidłowych odpowiedzi? Z jakiego powodu Rice tak gorąco pragnął, by Jupe szybko znalazł się na ranczu? Czemu ta Meksykanka w czerwonym szalu próbowała go przed tym powstrzymać? Dlaczego w końcu Blondie zachowywała się tak, jakby znała Jupitera, chociaż nigdy przedtem go nie widziała?

Na półkach w biurze Dusty'ego Jupiter nie znalazł nic ciekawego z wyjątkiem mapy o dużej skali, przedstawiającej góry Sierra Madre. Ktoś upstrzył całą mapę znakami zapytania. Prawdopodobnie zrobił to sam Dusty. W górnej szufladzie biurka leżały dokumenty i akta prawne, dotyczące rancza. Jupiter przejrzał je, aż natrafił na końcowy podpis.

Czarno na białym widniało: Ascención Barbera.

Czyli to on sprzedał ranczo Dusty'emu i został jego pomocnikiem i kucharzem. Wyjaśniałoby to wrogość Meksykanina wobec ranczera.

W dolnej szufladzie biurka znajdował się magnetofon. Jupiter wyjął go, przyciszył tony i wcisnął klawisz odtwarzania.

Tym razem natychmiast rozpoznał swój głos. Słyszał, jak powtarza wciąż te same słowa: "Chodź. Tu. Blondie. Naprzód. Prr. Blondie. Chodź. Tu..."

Po chwili ostrożnie przewinął taśmę i schował magnetofon na miejsce.

Kilka minut później zadzwonił telefon.

- Zdoylem potrzebne ci informacje - oznajmił Alfred Hitchcock. - Jesteś gotowy, by notować?

- Tak. - Jupiter odwrócił kartkę z listą pytań i zapisał odpowiedzi, które przekazał mu reżyser.

- Dziękuję - powiedział, kiedy pan Hitchcock odczytał ostatnie słowo. - Bardzo mi pan pomógł.

- Zawsze gotów do usług. Zadzwoń do mnie po powrocie. Z przyjemnością was ugoszczę, poszukiwacze mocnych wrażeń. Jestem ciekaw, dokąd zaprowadzi was ten osiołek.

Jupiter obiecał, że zatelefonuje, kiedy tylko przyjedzie do Kalifornii, i zanim skończył rozmowę, jeszcze raz serdecznie podziękował sławnemu reżyserowi za pomoc. Teraz chciał już jak najszybciej opowiedzieć wszystko Pete'owi i Bobowi oraz wspólnie z nimi przemyśleć kilka kwestii. Wiedział jednak, że przyjaciele wrócą nie wcześniej niż za godzinę. Jupe wyszedł z biura pana Dustina, starannie zamykając za sobą drzwi.

Tego ranka nie widział Blondie. Sporo już wiedział o małych osiołkach i dzięki temu bardziej zainteresował się zwierzęciem. Postanowił złożyć oślicy wizytę.

Na polu był również Ascención. Napelniał pojemnik, z którego Blondie piła wodę. Na widok Jupitera z ożywieniem podbiegła do niego. Chłopiec poklepał ją po szyi.

Południowe słońce prażyło mocno i Meksykanin zdjął koszulę. Jupe zauważył, że jego klatka piersiowa i plecy mają taki sam ciemnobrązowy odcień jak twarz. Trudno powiedzieć, czy była to naturalna karnacja Ascencióna, czy też efekt wielu godzin pracy na świeżym powietrzu. Z całą pewnością Meksykanin był dużo bardziej opalony niż Jupe. Mimo codziennego pływania ciągle wyglądał blado, jak człowiek, który spędza zbyt wiele czasu przed ekranem komputera.

- Blondie nie ma już... - Jupiter nie wiedział, jak po hiszpańsku brzmi słowo "pęta", ale wskazał na nogi oślicy i Ascención domyślił się, o co mu chodzi.

- Nie, ten... - Ascención użył niecenzuralnego słowa, które natychmiast przychodziło mu do głowy, kiedy mówił o Dustym - wczoraj wieczorem ściągnął więzy.

- Dlaczego to zrobił?

- Teraz, kiedy tu jesteś, przestał się bać, że osiołek ucieknie.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Blondie jest ci wdzięczna.

- Za co?

- Myśli, że uratowałeś jej życie. Te małe osiołki to dobre zwierzęta. Są bardzo oddane i umieją okazać wdzięczność.

Meksykanin podniósł wiadro i oddalił się w stronę domu. Jupe ruszył za nim, a Blondie wiernie mu towarzyszyła. Chciał jeszcze zadać kilka pytań Ascenciónowi, lecz ten odmówił odpowiedzi, wykręcając się, że robota czeka.

Pete i Bob złowili kilka pstrągów. Ascención upiekł je na grillu i podał na lunch. Jupe nagle ozdrowiał i zjadł dwie ryby. W końcu były to same proteiny.

- Chodźmy na spacer, zrzucić wchłonięte kalorie - zaproponował po skończonym posiłku. - Co wy na to, chłopaki?

Pete i Bob natychmiast się domyślili, że przyjaciel chce porozmawiać z nimi na osobności. Ruszyli przez pole w stronę lasu, rosnącego w pobliżu jeziora.

Kiedy rozsiedli się na polance wśród drzew, Jupe opowiedział o rozmowie telefonicznej z Alfredem Hitchcockiem. Z kieszeni dżinsów wyjął kartkę z notatkami.

- Małe osiołki, zwane przez Meksykanów burro, mają doskonały zmysł słuchu - zaczął zdawać relację z tego, czego za pośrednictwem sławnego reżysera dowiedział się z encyklopedii. - Niewiarygodnie doskonały. W przeciwieństwie do psów, nie rozpoznają ludzi po zapachu, lecz głównie po głosie. Często przywiązują się do jednej osoby i wtedy reagują od razu, kiedy ją słyszą.

- Masz na myśli to, że jeśli raz się w kimś zakochają, to już na całe życie? - spytał Bob. - Blondie faktycznie cała należy do ciebie.

- Skończ z tym - burknął Jupe. - Założę się, że Dusty zorganizował ten kretyński konkurs tylko po to, by znaleźć chłopca, który miałby taki sam głos, jak jakiś inny młody Amerykanin, zaprzyjaźniony z Blondie.

Poinformował przyjaciół o tym, czego dowiedział się od Ascenciona.

- Tamten chłopak kiedyś uratował jej życie. Nie wiem jak i nie wiem, kim on był. Kiedy jednak Dusty usłyszał mój głos nagrany na kasetę, uznał, że przypomina on głos tej nieznanej nam osoby. Odpowiednio spreparował więc otrzymaną ode mnie kasetę, wybierając jedynie potrzebne mu słowa. "Chodź tu, Blondie, naprzód, prr" i tak dalej. Znalazłem tę kasetę dziś rano w magnetofonie ukrytym w szufladzie biurka. Potem Dusty sprawdził, jak zachowuje się osiołek, słysząc te słowa. Sądzę jednak, że nie reagował on na głos z taśmy. W każdym razie nie najlepiej. Dusty nie był więc pewien, czy znalazł to, czego szukał, dopóki nie zjawiliśmy się na ranczu i Blondie nie usłyszała mojego naturalnego głosu. Dlatego wczoraj przy śniadaniu był taki zdenerwowany. Nie mógł się doczekać, by sprawdzić, czy dobrze trafił. Pamiętajcie, jaki był podniecony, kiedy wszystko zagrało?

Pete i Bob milczeli przez chwilę, rozważając to, co Jupe powiedział.

- Jak dotąd, twoja opowieść ma sens - przyznał Bob - ale...

- Tak - wtrącił się Pete - ale właściwie czemu to ma służyć? Dlaczego Dustin Rice wydał tyle pieniędzy i stracił mnóstwo czasu na znalezienie chłopaka o głosie, który rozpoznaje mały meksykański osiołek?

Jupe potrząsnął głową.

- Zabij mnie, nie wiem - przyznał. - Jednak coś dręczy mnie bardziej niż te pytania.

- Co takiego? - zapytał Bob.

- Wiemy, że można znaleźć dwie osoby o podobnie brzmiących głosach - wyjaśnił Jupe. - Ty, Pete, byłeś przecież pewien, że właśnie mój głos słyszysz na kasecie, którą wyjąłem ze skrzynki pocztowej. Jednakże jest mniej niż jedna szansa na kilka milionów, że ci ludzie o podobnych głosach będą również wyglądać tak samo.

Zajrzał do notesu.

- Małe osiołki mają także doskonały zmysł wzroku - ciągnął. - Rozpoznają ludzi nie tylko po głosie, lecz również po wyglądzie.

Bob pokiwał głową.

- Tak, wydaje się... - Głos uwiązał mu w gardle.

Pozostali dwaj chłopcy również zamarli. Usłyszeli, jak ktoś oddala się w pośpiechu i kieruje w głąb lasu. Poruszając się tak cicho, jak to możliwe, Trzej Detektywi wyruszyli w ślad za nieznanym.

Tajemniczy szpieg znał jednak las lepiej niż chłopcy. Wkrótce zgubili jego ślad. Nie słyszeli już żadnych kroków, jedynie trzepot ptasich skrzydeł.

Postanowili się rozdzielić i przeszukać las.

Jupiter pierwszy wrócił na polankę. Nikogo nie znalazł. Po kilku minutach dołączył do niego Pete. Na pytające spojrzenie przyjaciela odpowiedział przeczącym ruchem głowy, po czym wyciągnął się na trawie.

Kolejne dziesięć minut czekali na Boba. Pojawił się na polance uśmiechnięty, z rękami w kieszeniach. Jego szczególna mina oznaczała, że wie coś, o czym inni nie mają pojęcia.

- Widziałeś kogoś? - spytał go Pete.

- Ani żywej duszy - odparł Bob. Oparł się o drzewo. - Jednak znalazłem to.

Wyjął dłoń z kieszeni dzinsów. W palcach trzymał jakiś skrawek.

Jupe i Pete zobaczyli, że jest to wełniany materiał długości około dziesięciu centymetrów. Z tego rodzaju szorstkiej wełny Meksykanie robią szale.

Materiał był jasnoczerwony.

ROZDZIAŁ 6

NAGŁY NIEPOKÓJ

- Martwię się o Blondie - powiedział Dusty następnego dnia podczas śniadania.

Pete podniósł wzrok znad talerza z jajkami smażonymi na szynce.

- Co jej dolega? - spytał. - Rozmyśla o czymś? Jest markotna? Gapi się w przestrzeń?

Jupe kopnął przyjaciela pod stołem.

Dusty mówił dalej. Jakby nie słyszał słów Pete'a. Był podenerwowany, prawie nie tknął śniadania.

- Będzie z nią źle, jeśli pozostanie na polu.

Jupiter widział oślicę nie dalej niż rano. Pasła się spokojnie i nie wyglądało na to, by cokolwiek jej dolegało. Sierść miała gładką, oczy błyszczące. Kiedy Jupiter się zjawił, podbiegła do niego, by go powitać. Biegać umiała zadziwiająco szybko.

Pierwszy Detektyw postanowił zatrzymać te informacje dla siebie. Może Dusty wyjawi kolejną rzecz, która przybliży zespół do rozwiązania zagadki.

- Czyżby Blondie miała za mało pożywienia? - spytał niewinnym tonem.

- Martwię się o jej kopyta. - Dustin zmarszczył brwi i wypił łyk kawy. - Widzicie, te małe osiołki pochodzą z Afryki Północnej. Są przyzwyczajone do twardego, kamienistego podłoża. Kopyta rosną im tak szybko, jak człowiekowi paznokcie u nóg. Kamienie i żwir ścierają je. Jeśli osiołki zbyt długo przebywają na trawiastym terenie, kopyta zaczynają wrastać im w poduszki stopy - ranczer odstawił kubek z kawą - i po prostu je ranią.

- Nie może pan ich przyciąć? - zapytał Pete.

Kiedyś widział, jak coś podobnego robił jego przyjaciel.

- Niestety, nie. - Dusty ciągle miał marsową minę. - Nie takiemu dzikiemu zwierzęciu. Blondie nie pozwoli mi się zbliżyć do siebie. Kopnie mnie, jeśli spróbuję dotknąć jej nóg.

Jupe pomyślał, że jemu Blondie prawdopodobnie pozwoliłaby przyciąć sobie kopyta, jednak się nie odezwał. Czuł, że Dusty do czegoś zmierza. Do czegoś, co nie ma nic wspólnego z kopytami osiołka.

- Myślę, że powinienem wypuścić ją na wolność - ciągnął ranczer. - Niech wraca w góry, tam, skąd przyszła. - Spojrzał na Jupe'a. - Kłopot w tym, że teraz, kiedy tu jesteś, ona się stąd nie ruszy.

Jupe przypomniał sobie słowa Ascencióna: "Teraz, kiedy tu jesteś, on się nie boi, że zwierzę ucieknie". Pierwszy Detektyw mógł spytać Dusty'ego, dlaczego nie uwolnił Blondie wiele tygodni temu. Przecież już wtedy musiał wiedzieć o kłopotach z jej kopytami. Milczał jednak nadal, gdyż czuł, że Dusty zbliża się do sedna sprawy. Może będzie to krok na drodze do rozwiązania tego tajemniczego przypadku.

- Chyba że ty byś z nią poszedł - zasugerował Dusty. - To znaczy, wszyscy moglibyśmy zrobić niewielką wyprawę w góry. - Popatrzył uważnie na chłopców. - Jak wam się podoba ten pomysł?

Jupiterowi podobał się mniej niż średnio. Pochwyił spojrzenie Boba i mrugnął do niego porozumiewawczo.

Bob natychmiast zrozumiał ten znak. Znaczył on: "Robimy uniki, dopóki nie pogadamy o tym na osobności".

- Musimy porozmawiać. Wrócimy do pana - powiedział.

- Kiedy? - spytał z niepokojem Dusty.

- Kiedy podejmiemy decyzję - wyjaśnił Pete, kierując się do drzwi. Przyjaciele poszli za nim. Oddalili się od domu na taką odległość, by mieć pewność, że nikt nie podsłucha ich rozmowy, i rozsiedli się na trawie.

- Rozumiem, że zbliża się decydujący moment - powiedział Bob. - W całej zabawie chodziło właśnie o tę górską wycieczkę. Zgadza się, Jupe?

- Dokładnie. - Pierwszy Detektyw pokiwał głową. - Dlatego Dusty mnie potrzebował. Właściwie nie mnie, tylko mojego głosu. Chodziło mu o to, by Blondie nie uciekła. Ona ma nas dokądś zaprowadzić. W jakieś miejsce wysoko w górach, skąd przyszła.

- A co tam może być ciekawego? - zastanawiał się Pete, patrząc na oddalone górskie pasmo. - Złoto?

- No jasne. - Bob uśmiechnął się szeroko. - Skarb z Sierra Madre. - Zerwał źdźbło trawy i zaczął je żuć. - Ciekawi was to, chłopaki? Chcecie tam dotrzeć?

- Ja tak - natychmiast podjął decyzję Pete. Lubił kempingowe życie, gotowanie na ognisku, spanie w śpiworze pod gołym niebem. - A wy? Tam mogą panować trudne warunki.

- Chyba nie ma nic trudniejszego niż trasy koncertowe - stwierdził Bob. - Niektórzy rockmani naprawdę potrafią dać w kość. Co ty myślisz o wyprawie, Jupe?

Jupe'a nigdy nie pociągało traperskie życie, zmaganie się z przyrodą. Wolał posługiwać się głową niż nogami. Jako detektyw musiał jednak w przeszłości przejść wiele ciężkich tras. Dla rozwiązania ciekawej zagadki gotów był na największe wyrzeczenia.

- Oczywiście pójdziemy w góry Sierra Madre - zgodził się. - Chodźmy oznajmić dobrą nowinę Rice'owi.

Jupe miał rację, że dla Dustina Rice'a będzie to naprawdę doskonała wiadomość. Uśmiechnął się szeroko, kiedy Pete mu ją zakomunikował.

- Co powiecie na to, byśmy wyruszyli już jutro? - zaproponował ochoczo.

Trzej Detektywi przyznali, że to świetny pomysł. Ranczer w doskonałym humorze pojechał do Lareto po zapasy. Pete wręczył mu plik kartek pocztowych z napisami typu: "Tęsknię za Tobą" i "Szkoda, że Cię tu nie ma", adresowanych do Kelly, i poprosił o wrzucenie ich do skrzynki. Potem chłopcy rozdzielili się i aż do lunchu każdy zajmował się swoimi sprawami.

Pete poszedł nad jezioro łowić ryby. Bob usiadł na werandzie i zaczął czyścić i dezynfekować szkła kontaktowe. Musiał to robić co tydzień, a zdawał sobie sprawę, że

podczas wycieczki może mieć z tym kłopot. Jupe udał się na poszukiwanie Ascencióna, któremu chciał zadać kilka pytań.

Meksykanin był w kuchni. Siedział przy stole i próbował naprawić walkie-talkie. Rozebrał aparat na części, ale najwyraźniej nie mógł złożyć ich z powrotem.

- To nie jest zajęcie dla mnie - mruczał pod nosem. - Co ja wiem o radiach? Bydło, konie - na tym się znam.

- Może ja pomogę - zaproponował Jupiter. - Często naprawiałem różne gadzety. Czy to urządzenie w ogóle nie działa?

- No pewnie. Przecież nie demontowałbym radia dla zabawy. Milczało jak zaklęte.

- Do czego panu służy?

- Do prowadzenia rozmów.

- Czy ktoś w okolicy ma podobny aparat? - Jupiter zastanawiał się, z kim Ascenció mógłby prowadzić te rozmowy. Poza odległą wieżą kościoła po drugiej stronie jeziora, chłopiec w promieniu wielu kilometrów od rancza nie widział żadnych zabudowań.

- O ile mi wiadomo, nie.

- Dlaczego wobec tego chce pan naprawić walkie-talkie?

- Bo jest zepsute.

Jupiter musiał się zadowolić taką odpowiedzią. Szybko odkrył, że w odbiorniku były wadliwe złącza. Nie miał odpowiedniego rodzaju drutu, by je naprawić, musiał więc improwizować. Ściągnął wierzchnie zabezpieczenie z przewodu elektrycznego i posłużył się wyjętym z niego miedzianym drucikiem.

- Poznał pan wielu młodych Amerykanów? - zagadnął Ascencióna.

- Nie. - Meksykanin przyglądał się pracy chłopca z niekłamanyim zainteresowaniem. - Wszyscy mają taką smykałkę do naprawiania urządzeń elektronicznych jak ty?

- Niektórzy. - Jupe postanowił spróbować jeszcze raz. - Czy byli tu jeszcze jacyś inni młodzi Amerykanie oprócz nas?

- Kiedy?

- W ciągu ostatnich trzech lub czterech miesięcy. Od czasu gdy przybłąkała się Blondie.

Ascención wzruszył ramionami.

- Czasami ktoś się tu zatrzymuje.

- A może któryś z tych ludzi miał głos podobny do mojego?

Pobrużdżona twarz Meksykanina pozostała kamienna jak zwykle, ale ciemne oczy śmiały się wesoło.

- Według mnie wszyscy przybysze z Ameryki Północnej mówią podobnie - odparł.

- Blondie odbiera to inaczej.

- Osiołki mają lepszy słuch niż ja.

Dalsza rozmowa prowadzi donikąd, uznał Jupiter. Ascención wiedział, że chłopiec próbuje go wysondować, i nie zamierzał niczego wyjawiać.

Jupiter skończył składać aparat i włączył go. Choć ustawiał antenę na różne sposoby, nie zdołał otrzymać żadnej odpowiedzi na swój sygnał przywoławczy, ale i tak był dumny, że naprawił walkie-talkie. Gdyby w zasięgu działania aparatu znajdował się inny posiadacz podobnego urządzenia, Ascención mógłby nawiązać z nim kontakt.

- W porządku. Działa - oznajmił Pierwszy Detektyw.

- Sprytni jesteście, Amerykanie.

- Dziękuję.

Być może Amerykanie bywali sprytni, ale Jupe wiedział, że będzie musiał wstać wcześniej rano, by przechytryć tego Meksykanina.

Ascención wziął walkie-talkie, podziękował Jupiterowi, po czym wyciągnął rękę i potrzęsnał dłonią chłopca.

- Pewnego dnia odbędziemy długą rozmowę - powiedział. - Wtedy, kiedy... - przerwał, gdyż zadzwonił telefon. Ascención poszedł do biura, by go odebrać, i niemal natychmiast pojawił się z powrotem.

- Do ciebie.

Jupiter był pewien, że to Alfred Hitchcock. Nie przychodził mu na myśl nikt inny, kto mógłby tu do niego dzwonić.

Kiedy podniósł słuchawkę, nie usłyszał jednak głosu sławnego reżysera. Telefonowała jakaś kobieta. Chyba Amerykanka.

- Czy mówię z Jupiterem Jonesem? - spytała.

- Tak. Z kim mam przyjemność?

- Moje nazwisko nic ci nie powie. Chciałabym ci coś pokazać. Coś, co może być dla ciebie bardzo ważne.

Jupiter ożywił się. Zawsze ogarniało go podniecenie i ciekawość, kiedy jakaś sprawa przybierała nieoczekiwany obrót.

- Czemu nie przyjdzie pani z tym na ranczo? - zasugerował.

- Nie mogę. - W głosie kobiety zabrzmiał nagły strach. - Pojawienie się na ranczu Dustina Rice'a byłoby dla mnie zbyt niebezpieczne.

- Dustina Rice'a teraz nie ma - zapewnił kobietę Jupiter. - Pojechał do Lareto.

- Ktoś mógłby mnie zobaczyć i donieść mu. Chciałabym się z tobą spotkać po drugiej stronie jeziora.

Nieznajoma udzieliła Jupiterowi szczegółowych instrukcji. Powinien udać się nad brzeg, gdzie znajdzie zacumowaną łódkę. Przeplynie jezioro i ruszy przez las, kierując się w

stronę wieży kościelnej. Dotrze do małej wioski. Rozmówczynie będzie na niego czekała na głównym placu.

- Masz być sam - zakończyła. - Jeśli zobaczę, że ktoś ci towarzyszy, odejdę i nigdy się nie dowiesz, co miałam.

- A co to jest?

Po drugiej stronie linii Jupiter usłyszał jedynie szum.

Kobieta odłożyła słuchawkę.

ROZDZIAŁ 7

JUPITER POŁYKA PRZYNETĘ

Jupiter wrócił na werandę. Bob wyczyścił już szkła kontaktowe i czytał teraz wziętą ze sobą historię Meksyku. Przyjaciel opowiedział mu o rozmowie telefonicznej.

- Ciekawe, co ona chce ci pokazać. - Bob zamyślił się. - Może ma fotografię tego amerykańskiego chłopca, który oswoił Blondie.

Jupe wzruszył ramionami. To samo przyszło mu do głowy, wiedział jednak, że to tylko domysły.

- Mam iść z tobą? - spytał Bob.

- Nie, ta kobieta nalegała, żebym zjawił się sam.

- No cóż - mruknął Bob - w końcu będziesz na otwartej przestrzeni. Chyba nic ci nie grozi. A trochę gimnastyki dobrze ci zrobi.

- Daj spokój - jęknął Jupiter i ruszył ku jezioru.

Nad brzegiem nie widać było śladu Pete'a. Pierwszy Detektyw szybko odnalazł przycumowaną do palika samotną łódkę - niewielki drewniany bączek. Pod ławką leżały dwa wiosła. Jupe zepchnął łódkę na wodę, wszedł do środka, umieścił wiosła w dulkach i zaczął wiosłować.

Sprawiło mu to więcej trudności, niż się spodziewał. Odgarniał wodę mocnymi ruchami, a mimo to łódeczka dryfowała na boki. Wkrótce zorientował się, dlaczego. Do jeziora wpadała górská rzeka, która przepływała przez nie, tworząc silny prąd. Nawet niedaleko brzegu był on silniejszy niż pływy oceaniczne w pobliżu Rocky Beach.

Jupe przeanalizował sytuację, po czym ustawił łódkę pod kątem do rwącego prądu. Naciskając mocniej na prawe wiosło i płynąc z nurtem, po czym przenosząc ciężar na lewe, doprowadził do tego, że bączek posuwał się w kierunku odległego brzegu, zanadto nie

dryfując. Jupe musiał jednak zdrowo się natężyć, by sprostać zadaniu. Wszystko szło dobrze, aż tu nagle... trzask!

Pióro prawego wiosła odłamało się od trzonu.

Jupiter przyglądał się bezradnie, jak kawałek drewna szybko odpływa od łódki. W ręku pozostał mu bezużyteczny drąg. Cisnął go na podłogę i zajął się drugim wiosłem.

Nie mógł już utrzymać łódki w linii prostej. Bączek zaczął się kręcić jak pies, goniący za własnym ogonem. Jupe próbował przekładać wiosło z jednej burty na drugą, ale było to niewygodne, poza tym łódka posuwała się zbyt wolno. W końcu wyjął wiosło z dulki i zaczął pagajować. Bączek, kolebiąc się, ruszył ku brzegowi.

Jupiter był mniej więcej w połowie drogi, kiedy odłamało się pióro drugiego wiosła.

Chłopiec został zdany na łaskę prądu. Jednym z ułamanych wiosł próbował odepchnąć się od dna, ale jezioro było w tym miejscu zbyt głębokie i nie udało mu się tego zrobić.

Zastanawiał się, czy nie zacząć wzywać pomocy, uznał to jednak za bezcelowe. Nawet gdyby Bob lub Ascención usłyszeli jego wołanie, cóż mogliby mu pomóc, skoro nie mieli drugiej łódki? Bezradny, dryfował w kierunku ujścia rzeki z jeziora.

Jupiter był dobrym pływakiem. Umiał nurkować i płynąć wzdłuż brzegu pod prąd. Przypomniał sobie jednak słowa Ascencióna. Zanurzył rękę w wodzie i przekonał się, że Meksykanin miał rację. Woda była lodowato zimna. Nie wytrzymałby w niej dłużej niż kilka minut.

Dobre i to, że wciąż znajdował się w bączku. Gdyby w nim pozostał, prąd niósłby go w dół rzeki. Tylko jak długo? Wkrótce mogły pojawić się progi.

Pomyślał o wiosce ukrytej po drugiej stronie jeziora. Może któryś z jej mieszkańców ma łódkę?

- Ratunku! Na pomoc! - zaczął krzyczeć po hiszpańsku. Jednakże o tej porze, w czasie południowego skwaru, w pobliżu jeziora nie było żywej duszy. Jedyne jakiś pies zaszczekał z oddali.

Jupe starał się zachować spokój. Ułożyć jakiś plan. Być może trafi na płytsze miejsce. Zdoła dopchać się do brzegu.

Wkrótce zorientował się, że jest blisko ujścia rzeki. Jezioro nagle jakby się zapadało.

Jupe wiedział, co to oznacza: szczyt wodospadu. Przykucnął w łódce i przygotował się na uderzenie, spowodowane nagłym ześlizgnięciem się z krawędzi wodnego progu.

- Jupe! - usłyszał nagle czyjeś wołanie.

Uniósł głowę. Nad brzegiem jeziora stał Pete i machał wędką.

Drugi Detektyw nic nie wiedział o połamanych wiosłach, natychmiast się jednak zorientował, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się jego przyjaciel. W przeciwieństwie do Jupe'a, widział prawie stumetrowy spadek terenu, gdzie jezioro się zwężało i wlewało do płynącej dołem rzeki. Właśnie tu, w pobliżu szczytu wodospadów Pete łowił ryby. Wiedział, że rwący prąd w mig roztrzaskałby drewnianą łódeczkę o skały. A Jupiter...

Pete ruszył biegiem wzdłuż brzegu, oddalając się od wodospadu. Zatrzymał się w miejscu, gdzie ład najgłębiej wcinał się w jezioro. Sądził, że Jupe minie go, płynąc w odległości około dwudziestu metrów, nim jego łódeczka spadnie w kipiącą gardziel.

Pete zwolnił mechanizm kołowrotka i uniósł wędkę ponad głowę. Miał jedną szansę. Jedną jedyną, gdyż na drugą próbę nie starczyłoby czasu. Wyteżył się, czekając, aż bączek znajdzie się naprzeciw niego.

Zamachnął się z całej siły i rzucił żyłkę z umocowanym do niej ciężarkiem najdalej, jak tylko zdołał.

To był najlepszy i najdłuższy rzut w życiu Pete'a. Ciężarek wylądował w wodzie tam, gdzie powinien. Jupe chwycił żyłkę, przewieszoną przez dziób łódki.

- Nie ciągnij! - wrzasnął Pete. - Może się urwać. Trzymaj ciężarek.

Jupe ostrożnie wydobył z wody ołowiane obciążenie.

Pete powoli i uważnie zaczął napinać żyłkę. Wykorzystując każdy centymetr luzu, starał się jak najmniej obciążać nylonową linę.

Nie ściągał bączka prosto do brzegu. Kiedy żyłka była już mocno napięta, zauważył z ulgą, że łódka, zataczając kręgi, zaczyna wolno się przybliżać, zupełnie jakby prowadził ją na smyczy. Wybrać kolejne kilkanaście centymetrów luzu.

Pete poczuł, że im bliżej brzegu jest bączek, tym prąd stawia mniejszy opór. Znowu wybrał trochę luzu. Łódka zataczała coraz mniejsze kręgi i pomału zbliżała się do celu. Prąd stał się niemal niewyczuwalny. Jupiter był bliski ocalenia.

Od brzegu dzieliło go jeszcze około dziesięciu metrów, kiedy żyłka pękła. Chłopiec przyklęknął, wyjął spod ławeczki złamane wiosło i zanurzył je w wodzie. W pewnym momencie stawiało opór. Jupe zaparł się o nie i wyężdżając wszystkie siły, zaczął odpychać się od dna.

Po kilku próbach łódka przesunęła się o kilkadziesiąt centymetrów. Jupiter powtórzył czynność i łódka pokonała kolejny dystans. Głębokość jeziora nie przekraczała teraz nawet metra. Jupe wskoczył do wody, chwycił dziób łódki i dociągnął ją do brzegu.

Pete podbiegł do przyjaciela i pomógł mu wyciągnąć bączka na ląd.

- Dziękuję - rzucił Jupiter. Cóż więcej mógł powiedzieć?

- Jesteś największą rybą, jaką dotąd złowiłem - zażartował Pete. - Poproszę Ascencióna, żeby cię upiekł na grillu i podał na lunch.

Chłopcy usłyszeli odgłos szybkich kroków. Zobaczyli, że w ich stronę biegnie Bob. Kiedy Jupiter zostawił go na werandzie, poszedł nad brzeg, by popatrzeć, jak przyjaciel sobie radzi. Zauważył, że prąd znosi łódkę Jupe'a w stronę wodospadu, ale w żaden sposób nie mógł mu pomóc.

- Świetny popis - pochwalił Pete'a. - Każdy reżyser w Hollywoodzie byłby dumny z takiej sceny.

Pete uśmiechnął się szeroko.

- Słuchajcie, chyba mieliśmy kręcić "Skarb z Sierra Madre", a nie "Szczęki"! Poza tym muszę wam powiedzieć, że za nic na świecie nie podjąłbym się przekazać ciotce Matyldzie złej wiadomości.

Jupe śmiał się wraz z przyjaciółmi. Co za chłopaki! Usiadł i ściągnął mokre adidasy i skarpetki. Przebywał w wodzie zaledwie kilkanaście sekund, a stopy miał fioletowe z zimna. Całe szczęście, że nie próbował pływać.

Pete nawijał żyłkę na kołowrotek, a Jupiter w tym czasie relacjonował w skrócie, co się wydarzyło. Nieoczekiwany telefon. Złamane wiosła,

- Oba wiosła się złamały? - spytał Pete. - Tak po prostu?

- Nie - odparł Jupe, patrząc na równiutkie końce drążków. - Zostały podpiłowane, dlatego pióra odłamały się po kilku minutach wiosłowania. Najwyraźniej ktoś zaaranżował mój wypadek.

Jupe spojrzał na Boba, który przysiadł na rufie łódki.

- Widziałeś może kogoś po drugiej stronie jeziora?

Bob pokiwał głową.

- Tak, przez chwilę mignęła mi jakaś kobieca postać. Chyba obserwowała cię, kiedy zmierzałeś w stronę wodospadu. Potem się zmyła.

- Jak wyglądała? - spytał Pete. - Nie, nie mów, pozwól mi zgadnąć. Była to Meksykanka z długimi czarnymi warkoczykami i w czerwonym szalu na głowie.

- Nie, moim zdaniem wyglądała na Amerykankę. Miała na sobie džinsy, ciemne okulary i...

- I była blondynką - przerwał Jupe.

Bob zrobił zaskoczoną minę.

- Czyżbyś miał zdolności telepatyczne? - spytał.

ROZDZIAŁ 8

NIECH PROWADZI BLONDIE

Następnego ranka Trzej Detektywi wyruszyli w góry.

Dusty przywiózł z Lareto przyczepę służącą do przewozu koni i umocował ją z tyłu dżipa. Ascención przyprowadził klacz, która pasła się na polu poniżej zabudowań rancza. Pete pomógł nałożyć zwierzęciu uzdę i osiodłać je. Klacz była dobrze ujeżdżona i nie protestowała, kiedy Pete wprowadził ją po rampie do jej nowej zagrody na kółkach. Chłopiec został przy niej, szczotkując jej sierść, a Jupe i Ascención poszli po Blondie. Pierwszy Detektyw cieszył się, że może spędzić kilka minut sam na sam z Meksykaninem, gdyż chciał mu zadać kilka pytań.

- Czy tamta łódka zawsze stoi nad brzegiem jeziora? - spytał.

- A niby gdzie miałyby stać? W kuchni? - usłyszał odpowiedź.

- Do kogo należy?

- Stanowi własność rancza.

- Czy ktoś z niej korzysta?

- Czasami.

- Do czego jej używa?

- Do łowienia ryb.

Próba dowiedzenia się czegokolwiek od Ascencióna jak zwykle nie bardzo się Jupe'owi powiodła. Musiał jednak uzyskać jeszcze jedną informację.

Blondynka, którą Bob zauważył po drugiej stronie jeziora, była z pewnością tą samą kobietą, która telefonowała do Jupitera. Prawdopodobnie ona również podpiłowała wiosła. W

jaki sposób jednak pokonała drogę tam i z powrotem przez jezioro? Musiałaby to zrobić poprzedniego dnia wczesnym rankiem lub nocą.

- Jak dostałby się pan do wioski po drugiej stronie jeziora? - spytał Ascencióna Jupe.

- Na piechotę.

- Naprawdę? Przecież jezioro jest bardzo głębokie.

- Nie wszędzie. Tam - Meksykanin wskazał miejsce, w którym rzeka wpływała do jeziora - są duże, wystające kamienie, po których można przejść.

Jupe pokiwał głową. To by się zgadzało. Amerykanka dotarła na rancho Dusty'ego, podpiłowała wiosła stojącej nad brzegiem jeziora łódki, po czym wróciła tą samą drogą, którą przyszła, i z wioski zatelefonowała do Jupitera.

A jeśli była to właśnie ta kobieta, która mignęła Jupe'owi na werandzie podczas jego pierwszej nocy spędzonej na ranchu, Ascencióń musiał ją znać.

- Czy ma pan w wiosce jakichś znajomych? - spytał Meksykanina.

- Właściciela baru. Jest moim krewnym.

- Nie zna pan przypadkiem jakichś Amerykanów? Na przykład jasnowłosej kobiety?

Dotarli już do furtki w płocie ogradzającym pole, na którym przebywała Blondie. Ascencióń odwrócił się i popatrzył Jupiterowi w oczy.

- Głupio zrobiła - zdecydował się nagle puścić parę. - Powiedziałem jej o tym. Trochę tłumaczy ją to, że była bardzo przestraszona. Ludzie, którzy się boją, czasem postępują bezsensownie. Cieszę się, że nic ci się nie stało. Jednak...

Meksykanin dotknął ramienia Jupitera.

- Uważaj na siebie w górach, *amigo* - ostrzegł chłopca. - Tam jest niebezpiecznie.

Podniecona Blondie przybiegła galopem na spotkanie Jupitera. Otworzył furtkę, a oślica kilka razy otarła się pyskiem o jego pierś. Jupe podrapał ją za uszami. Blondie coraz

bardziej Ignęła do niego, natomiast Ascenciónowi nadal nie pozwalała się dotknąć. Meksykanin musiał stać w pewnej odległości od oślicy i wyjaśniać Jupiterowi, w jaki sposób ma jej nałożyć uprząż z liny.

- Będiesz na niej jechał na oklep - powiedział. - Bez względu na sympatię, jaką cię darzy, nie zniesie siodła na grzbiecie. Jeśli spróbujesz je nałożyć, zacznie się tarzać po ziemi i nie przestanie dopóty, dopóki nie poluzuje popręgu.

Dusty załadował tylne siedzenie dżipa prowiantem i wyposażeniem potrzebnym podczas wyprawy. Składały się na nie worki ryżu i fasoli, owies dla konia, kawa i cukier, śpiwory, strzelba. Pete i Bob musieli się wcisnąć między te toboły. Jupe siedział z przodu obok ranczera, trzymając Blondie na długim postronku. Kłusowała obok dżipa, który ciągnął z tyłu przyczepę z koniem w środku.

Kiedy uczestnicy wyprawy przejeżdżali przez bramę na końcu posiadłości, Pierwszy Detektyw obejrzał się za siebie. Ascención stał na werandzie. Nim zniknął chłopcu z oczu, zdążył unieść prawą rękę. Było to raczej ostrzeżenie niż pożegnalny gest.

Dżip wspinał się krętą drogą na wzgórze. Dusty musiał jechać bardzo wolno. Rozwijał prędkość nie większą niż dziesięć, może piętnaście kilometrów na godzinę, żeby Blondie biegnąca obok samochodu zanadto się nie zmęczyła. Przez godzinę tłukli się po zakurzonej, kamienistej drodze, która potem przeszła w ledwo widoczny trakt, wiodący między sosnami.

Po dwóch godzinach jazdy Dusty zatrzymał się, by ochłodzić silnik. Kiedy umilkł warkot motoru, Jupiter usłyszał szum bieżącej wody. Blondie szarpnęła liną.

- Chyba jest spragniona - powiedział ranczerowi. - Pewnie również głodna. Pójdę z nią, żeby nie próbowała uciekać.

Jupiter zaprowadził małą oślicę nad brzeg górskiego strumienia. Woda wyglądała czysto i zachęcająco. Chłopiec także poczuł pragnienie. Ascención powiedział mu, że w Sierra Madre można pić ze strumieni, nie wolno natomiast z jezior czy stawów. Jupe przyklęknął i zaczerpnął wody w garście. Blondie opuściła łeb i zanurzyła pysk w chłodnej toni.

Kiedy zaspokoila pragnienie, zaczęła skubać trawę. Nie zabrali ze sobą paszy dla niej, gdyż w przeciwieństwie do konia, była przyzwyczajona sama wyszukiwać sobie pożywienie. Ascención powiedział chłopcom, że małe osiołki potrafią to robić nie gorzej niż kozice.

Po kilku minutach Jupe usłyszał niecierpliwie nawoływania Dusty'ego. Chłopiec próbował nakłonić pasącą się w najlepsze Blondie do powrotu. Jednak mimo iż mocno pociągał za linę i powtarzał: "Chodź tu, chodź, ty uparte zwierzę", oślica nawet nie drgnęła. Musiał poczekać, aż naje się do syta.

Kiedy w końcu dołączyli do reszty uczestników wyprawy, rozwścieczony Dusty trzymał już silnik na rozruchu. Wszyscy poza Jupe'em zdążyli zjeść lunch, który przygotował im na drogę Ascención, więc chłopiec pospiesznie chwycił jakąś kanapkę. Ledwo zdążył ją przełknąć, dżip zaczął znowu trząść się i podskakiwać w koleinach. Przez cały czas Jupe trzymał w dłoni postronek, do którego uwiązana była biegnąca obok samochodu Blondie. Jechali tak przez następne trzy godziny, dopóki nie skończyła się nawet ta nędzna polna droga.

- Tutaj musimy zostawić dżipa - oznajmił Dusty.

Wyładowali z samochodu zapasy, a Pete wypuścił klacz z przyczepy. Dusty ustawił oba pojazdy pod kępą drzew i zamaskował je sosnowymi gałęziami. Potem ranczer objuczył konia najcięższymi pakunkami, Blondie zaś pozwoliła Jupiterowi, by przytroczył jej do boków śpiwory.

- Będziesz prowadził - powiedział Pierwszemu Detektywowi Dusty, kiedy wszyscy byli już gotowi ruszać dalej. - Po prostu pozwól, by Blondie wybierała drogę.

Jupe i jego przyjaciele wymienili spojrzenia.

Jupiter jechał na oklep na Blondie i nie miał żadnego bagażu. Pete i Bob z plecakami szli za nim na piechotę. Dusty na obładowanym koniu zamykał pochód. W futerale przytroczone do siodła wioził strzelbę.

Jupe przez cały czas musiał uważać, by utrzymać się na grzbiecie osiołka. Wkrótce przekroczyli górną granicę lasów i zaczęli się wspinać tak stromymi i urwistymi żlebami, że Pete i Bob chwilami szli na czworakach. Blondie bez trudu pokonywała stromizny. Ascención

powiedział, że osiołki potrafią znajdować w terenie żywność równie dobrze jak kozice. Teraz widać było, że nie gorzej wychodzi im wspinaczka. Jupe objął Blondie za szyję, by nie ześliznąć się do tyłu.

Miał o wiele łatwiejszą podróż niż Dusty, który męczył się z niezdarną, niepewnie stającą klaczą. Często musiał z niej zsiadać i przeciągać odporne zwierzę przez skalne występy. Opóźniało to bardzo jazdę i wkrótce ranczer był już o dobre pół kilometra w tyle za Bobem i Pete'em.

Jupe postanowił zatrzymać się na chwilę, by inni mogli go dogonić.

- Prr! - krzyknął Blondie do ucha. - Prr!

Oślica nie miała najmniejszej ochoty stanąć. Cieszyła się wspinaczką i nie zamierzała na nikogo czekać. Upór zwierzęcia zaczynał irytować Jupitera. Pociągnął za uzdę, by pokazać Blondie, kto tu jest panem. Nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

Nagle zatrzymała się w miejscu i stanęła nieruchomo. Zrobiła to tak nieoczekiwanie, że Jupiter niemal przeleciał jej nad głową. Dotarli właśnie do płaskiego terenu. Spomiędzy pokrywających go kamieni wyrastało zielsko. Dokładnie przed sobą mieli kępę kaktusów.

Jupe pomyślał, że Blondie znowu ma ochotę na popas. Odprężył się i zsiadł z oślicy. Pomyślał, że on również chętnie tu odpocznie. Zauważył znajdującą się w pobliżu kaktusów skalną platformę i ruszył w jej kierunku.

Blondie natychmiast wyciągnęła szyję, blokując chłopcu drogę. Kiedy spróbował przejść obok oślicy, chwyciła zębami brzeg jego podkoszulka i szarpnęła go do tyłu.

- No dobrze, czego chcesz? - zapytał trochę już rozgniewany. - Paść się? Proszę bardzo, ruszaj naprzód. Nie musisz żreć mojego ubrania.

Usiłował wyciągnąć materiał z zaciśniętych zębów Blondie, ale trzymała go zawzięcie.

W końcu Jupiter wzruszył ramionami i dał sobie spokój z oślicą. Nie było na nią sposobu, kiedy przy czymś się uparła. W tym momencie najwyraźniej nie zamierzała ruszyć

się z miejsca, w którym akurat się znajdowała. Chciała również, by Jupe został tam wraz z nią.

Chłopiec poklepał ją po boku i wtedy wypuściła z zębów jego podkoszulek, ale nie usunęła się z drogi. Odwróciła łeb i wpatrywała się w jeden z kaktusów.

Jupiter zauważył, że uszy Blondie sterczą do tyłu, a jedwabista sierść jeży się ze strachu.

ROZDZIAŁ 9

KTO TU RZĄDZI?

Jupiter stał nieruchomo, wpatrując się w kaktusy. Po chwili dotarli do niego Pete i Bob.

- Co się dzieje? - spytał Pete.

- Nie mam pojęcia. Blondie przestraszyła się czegoś.

Bob ruszył do przodu, Pete tuż za nim. On również zauważył zjezoną sierść na grzbiecie osiołka.

- Popatrzmy, co robi - powiedział.

Blondie nadal nie odrywała wzroku od kaktusów. Przez chwilę chłopcy słyszeli jedynie ciężkie dyszenie klaczy, która pięła się ścieżką do góry i w końcu stanęła za nimi.

- Co was tu zatrzymało? - warknął Dusty.

W tym momencie do uszu ludzi doleciało słabe brzęczenie. Blondie usłyszała je o wiele wcześniej. Ten dźwięk oznaczał niebezpieczeństwo. Dochodził zza skał, wznoszących się za kaktusami. Nie był tak regularny jak bzyczenie pszczół. Ucichał, po czym znowu się wzmagił, szybszy i głośniejszy.

Stojący obok klaczy Dusty odetchnął głęboko i sięgnął po strzelbę.

- To grzechotnik - powiedział. - Czeka ukryty gdzieś za kaktusami.

Najprawdopodobniej pojawienie się Blondie przyciągnęło gada. Musimy go stamtąd wypłoszyć, wtedy do niego strzelę.

Trzej Detektywi sięgnęli po kamienie. Trzymali je w pogotowiu, podczas gdy ranczer ustawiał broń do strzału.

- Teraz! - krzyknął Pete.

Chłopcy jednocześnie rzucili kamieniami. Brzęczenie ustało. Jednakże potem nie zapadła cisza.

Wąż, grzechocząc coraz szybciej, wyśliznął się zza kępy kaktusów. Miał dobrze ponad metr długości. Uniósł łeb i zygzakowatymi ruchami w przeraźliwym tempie zbliżał się do ludzi.

Chłopcy cofnęli się gwałtownie, a Dusty wystrzelił.

Trudno powiedzieć, czy ranczer trafił węża, czy też nie. Z pewnością go nie zabił. Gad rzucił się na bok i nadal pełznął ku grupie wędrowców.

Bob wpatrywał się w grzechotnika z bezradną fascynacją. Groźny gad zmierzał prosto w jego stronę. Chłopiec widział jego płaskie ślepia, długi, drgający język, zrogowaciałe grzechotki na zakończeniu uniesionego ogona. Próbował się ruszyć, ale nogi wrosły mu w ziemię. Czuł się jak zahipnotyzowany spojrzeniem węża.

Dusty uniósł strzelbę, odbezpieczył ją, ale nie nacisnął spustu, bowiem dokładnie na linii strzału stała Blondie.

Mała oślica położyła uszy po sobie. Odwróciła się szybko od węża.

Bob zobaczył, że gad jeszcze wyżej uniósł łeb i szykował się do ataku.

Blondie gwałtownie wierzgnęła tylnymi nogami. Kopyta osiołka dosięgły grzechotnika, który poszybował w górę, a potem spadł na skały ponad pięć metrów poniżej miejsca, gdzie stali Trzej Detektywi, Dusty i zwierzęta. Ogłuszony wąż leżał przez chwilę nieruchomo, po czym popęłznął przed siebie i znikł wędrowcom z pola widzenia.

Dusty schował strzelbę do futerału. Wszyscy milczeli i oddychali głęboko, a następnie bez słowa ruszyli w dalszą drogę.

W pewnym momencie Blondie przestała się wspinać. Krążyła przez chwilę, dopóki Jupiter nie zauważył, że tuż poniżej ścieżki, którą szli, rosną drzewa. Oślica szybko tam zesza. Jupiter nie próbował jej powstrzymać, chociaż wydawało mu się, że zawraca po

własnych śladach. Kiedy Blondie dotarła do drzew i zatrzymała się, Jupe pochylił się i pogłaskał ją po szyi.

- No dobrze. Od tej pory ty rządzisz. Będziemy iść, dokąd każesz.

Kiedy Dusty dogonił chłopców, musiał przyznać, że osiołek wybrał dobre miejsce na nocny postój. Było tu dużo trawy i drewna na ognisko, a potem okazało się jeszcze, że w pobliżu płynie strumień. Blondie zaprowadziła tam Jupitera.

Po zachodzie słońca zrobiło się zimno. Trzej Detektywi włożyli swetry. Pete szybko rozpalił wspaniałe ognisko i pomógł Dusty'emu rozjuczyć klacz. Ranczer zdjął jej siodło, nakarmił ją i napił. Potem ugotował ogromny gar ryżu z fasolą dla siebie i chłopców.

Jupe spojrział na pełen talerz. Same węglowodany! Przełknął ślinę. Fasola nie była jeszcze najgorsza, w końcu poza skrobią zawierała również białko. Jednak ryż to trucizna! Skrobia i nic więcej.

Pierwszy Detektyw podjął decyzję. Był na tropie fascynującej sprawy. Musiał mieć dużo siły, by sprostać zadaniu. Niech Keil Halfebrot przez jakiś czas sam wcina swoje liście sałaty. Jupiter rzucił się na jedzenie i wymiół talerz do czysta.

Nie poprosił o dokładkę. Żołądek miał dziwnie przepełniony. Chyba jestem zbyt zmęczony, by jeść, pomyślał.

Po kolacji Bob zdjął adidas i rozmasował sobie stopy. Były obolałe po całym dniu wspinaczki.

- Jak daleko zamierza pan iść? - spytał ranczera.

Dusty popatrzył na niego ostrym wzrokiem.

- Nie podoba ci się wycieczka?

- Myślałem po prostu o kopytach Blondie - oznajmił z ironią Bob. - Dokoła pełno jest ostrych skał i kamieni.

Miał już dość kłamstw Dusty'ego. Pragnął mu również uzmysłwić, że Trzej Detektywi nie są dziećmi, które bez zastrzeżeń uwierzą we wszystko, cokolwiek ranczer zechce im powiedzieć. Na przykład w tę bujdę o kopytach oślicy.

- To prawda - wtrącił się Pete. - Niektóre ze ścieżek, którymi szliśmy, miały podłoża ostrzejsze niż pilnik. Dlaczego nie możemy już teraz uwolnić Blondie?

Dusty nie od razu udzielił odpowiedzi. Wrzucił do ognia kilka patyków.

- Oślica wie, dokąd idzie - odparł wreszcie. - Kieruje się tam, skąd przyszła. Zatrzyma się, kiedy dotrze do celu.

- Skoro rodzinne strony tak wiele dla niej znaczyły, dlaczego je opuściła? - spytał Jupe?

- Trudno powiedzieć. - Ranczer wyraźnie się zniecierpliwiał. - Dzikie osły czasami porzucają stada. Nikt nie wie, co je do tego skłania.

Jupiter nie wątpił, że Dusty znowu skłamał. Blondie wcale nie błąkała się sama przez tyle kilometrów. Ktoś zaprowadził ją na rancho. Ktoś, komu ufała tak, że gotowa była pójść za nim wszędzie. Myślała, że ten ktoś ocalił jej życie. Coś takiego sugerował Ascención. Ta osoba miała głos niezwykle podobny do głosu Jupitera.

Oślica skubała trawę coraz dalej i dalej od ogniska. Ranczer popatrzył na nią z niepokojem.

- Lepiej przywiąż ją na noc do drzewa - ostrzegł Jupitera, uśmiechając się sztucznie. - Nie chcemy chyba, by znowu wróciła na rancho.

Jupiter podniósł się z ziemi. Podczas jazdy nie czuł, że nogi mu zeszywniały, ale teraz z trudem mógł wstać. Podeszedł do Blondie takim krokiem, jakby poruszał się na szrudłach, i poklepał osiołka po zadzie.

- Trzymaj się blisko mnie, zgoda, Blondie? - powiedział.

- Lepiej ją spętaj - mruknął Dusty. - Przywiąż do drzewa.

Jupiter popatrzył ranczerowi prosto w oczy i pokręcił głową.

- Nie zrobię tego - oznajmił. - W nocy Blondie może poczuć pragnienie i zechce pójść do źródła.

- Już dość się napiła - warknął Dusty.

Zaczęła się próba sił. Jupiter wiedział o tym i nie zamierzał ulec.

- Jeśli ma pan ochotę ją przywiązać, niech sam pan to zrobi - zaproponował. - O ile oślica pozwoli, by pan jej dotknął.

Przez dłuższą chwilę Jupe i Dusty patrzyli sobie w oczy. Blondie mogła rządzić na szlaku, ale tutaj Pierwszy Detektyw był szefem.

- Dobrze - zgodził się w końcu ranczer, wczolgując się do śpiwora. - Sądzę, że dopóki tu jesteś, Blondie będzie się kręcić w pobliżu.

- Dlaczego? - spytał krótko Jupe. - Czemu pan sądzi, że to zwierzę jest aż tak do mnie przywiązane?

- *Quien sabe*, jak mówią Meksykanie. - Ranczer obrócił się na bok i zamknął oczy. - Któż to wie?

Jupe pokuśtykał z powrotem do ogniska. Gdy mijał Boba, przyjaciel puścił do niego oko.

Pierwszy Detektyw umościł się w śpiworze. Wkrótce czwórka wędrowców smacznie spała.

Było jeszcze ciemno, kiedy Jupe się ocknął. Ognisko już wygasło. Chłopiec był tak zaspany, że przez chwilę nie mógł zrozumieć, co go obudziło. Po chwili usłyszał głośny ryk.

Blondie. Zwierzę wyraźnie przeciwko czemuś protestowało.

Jupe wygramolił się ze śpiwora i po omacku ruszył w stronę źródła. Kiedy dotarł na polankę, zauważył smugę światła. Poruszała się w górę i na dół, zataczała kręgi. Na początku w migocącym blasku dostrzegł jedynie Blondie. Stała dęba na tylnych nogach i rzucała się dziko jak oszaląca.

Potem światło na chwilę znieruchomiło i Pierwszy Detektyw zobaczył między drzewami jakąś kobiecą postać. Nieznajoma w jednym ręku trzymała latarkę, drugą ciągnęła wrywające się zwierzę.

Oślica znowu zaryczała. Jeszcze wyżej stanęła na tylnych nogach, gotowa stratować intruza, który szarpał linę, obwiązaną dokoła jej szyi.

Jupe przypomniał sobie, jak zwierzę poradziło sobie z grzechotnikiem. W tym momencie bardziej bał się o nieznajomą kobietę niż o osiołka.

- Puść ją! - krzyknął.

Pobiegł naprzód, chcąc uspokoić Blondie.

- Spokój, mała, no już, dobrze - przemawiał łagodnym głosem.

Kobieta nagle puściła linę. Blondie stanęła z powrotem na czterech nogach i odwróciła się w stronę Jupe'a. Pstryknął ją w nos, potem rozejrzał się za nieznajomą.

Światło latarki zgasło.

W zapadłych ciemnościach usłyszał odgłos kroków. Kobieta zanurzyła się w mroku. W następnej chwili na polance zjawili się Pete i Bob.

- Co się dzieje? - spytał Bob. - Obudził mnie ryk Blondie.

- Ktoś próbował ją ukraść - wyjaśnił Jupe. - Kobieta...

- Oho, znowu ta blondynka - powiedział Pete. - Ta, która chciała cię utopić. Czy teraz zależy jej na osle?

- Mylisz się. - Jupe potrząsnął głową. - Widziałem ją tylko przez chwilę w blasku latarki, ale poznałbym ją wszędzie. To była Meksykanka z autobusu. Ta w czerwonym szalu i z długimi czarnymi warkoczykami.

ROZDZIAŁ 10

NOCNY GOŚĆ

Następne dwa dni podobne były do pierwszego. Mijały godziny, uczestnicy wyprawy pokonywali kolejne kilometry, posuwając się wytrwale w głąb Sierra Madre. Góry zdawały się ciągnąć bez końca. Ledwo wspięli się na szczyt jednego wzniesienia, już w oddali pokazywało się drugie.

Pasma górskie oddzielone były od siebie wąskimi dolinami. Trzej Detektywi to podróżowali wśród pinii, to znów przekraczali granicę lasów i wspinali się pozbawionymi roślinności kamienistymi zlebami, póki nie przekroczyli jeszcze jednej grani.

- Całe szczęście, że mamy lato - zauważył Pete, kiedy wraz z Bobem gramolili się przez głazy. - Zimą brnęlibyśmy w śniegu po szyję.

- Całkiem miła wizja - mruknął ociekający potem Bob.

Dzień zaczynał się dla nich wraz ze wschodem słońca. Na śniadanie jedli rozgotowaną fasolę z ryżem na gorąco, to samo danie na zimno stanowiło lunch, a podgrzane kolację. Posiłki mogły znużyć najmniej wybrednego, w dodatku zawierały niemal wyłącznie skrobię, jednakże Jupitera przestało dręczyć poczucie winy. Zdecydowany był rozwiązać zagadkę i przekonać się, dokąd prowadzi ich Blondie. Wszystko inne, z węglowodanami na czele, zeszło na dalszy plan. Za to Pierwszy Detektyw nigdy nie żądał dokładki brei, którą serwował Dusty.

Blondie trzy- lub czterokrotnie w ciągu dnia zatrzymywała się na popas. Chłopców cieszyły te postoje, gdyż mogli rozprostować kości i odpocząć. Dusty również był z nich zadowolony, bo wtedy on i koń mieli szansę dogonić resztę grupy. Chociaż ranczer porządnie karmił swoją klacz, z każdym dniem coraz bardziej opadała z sił. Czasem aż dwa kilometry dzieliły ją od chłopców.

- Zastanawiam się, dlaczego te kobiety chciały nam zaszkodzić - powiedział Bob, kiedy któryś już raz leżeli wyciągnięci na trawie, którą Blondie skubała z zadowoleniem. -

Najpierw blondynka próbowała pozbyć się Jupitera, a potem brunetka usiłowała wykraść oślicę.

- Może jej osioł okulał i szukała innego, by niósł jej rzeczy - zgadywał Pete.

Ten argument nie przekonał Boba.

- Meksykankę można by podejrzewać o lepszą znajomość psychiki osłów. Powinna wiedzieć, że nikt nie zmusi tych zwierząt, by poszły dokądś wbrew swojej woli.

- Wcale nie jestem pewien, czy Blondie naprawdę była jej potrzebna - wtrącił Jupe. - Podejrzewam, że raczej nas chciała pozbawić tego zwierzęcia.

- Doprawdy? - mruknął Pete.

Jupiter nie miał już jednak nic do powiedzenia. Chłopcy wstali i ruszyli w dalszą drogę.

Każdego wieczoru przed zachodem słońca Blondie wynajdywała miejsce na nocne obozowisko. Zawsze była tam woda i drewno do rozpalenia ognia. Młodzi wędrowcy w czasie podróży ani razu nie natknęli się na innych ludzi. Tu i tam widzieli w oddali pokryte strzechami gliniane chatki, lecz jeśli nawet ktokolwiek w nich mieszkał, nigdy nie pokazał się na oczy.

Po drugim dniu marszu Jupe'owi przestały sztywnieć nogi. Pojawiły się muskuły, których istnienia chłopiec nawet nie podejrzewał. Trzeciego poranka dokonał fantastycznego odkrycia. Pasek, podtrzymujący spodnie, okazał się za luźny! Musiał przesunąć zapięcie o jedną dziurkę.

- Jazda na Blondie tak dobrze mi zrobiła - oznajmił z dumą przyjaciołom.

Pete zareagował na tę uwagę salwami śmiechu.

- Nic dziwnego, że schudłeś! - zawołał. - Nie mogłeś obżerać się między posiłkami.

Jupe pominął docinki milczeniem. Cokolwiek było przyczyną utraty wagi, nie ulegało wątpliwości, że parę kilogramów mu ubyło. Być może nawet przed końcem wakacji jakaś dziewczyna zechce się umówić z nim na randkę. Zaczął pogwizdywać z zadowolenia.

Wędrując tego dnia górskim grzbieciem, trzech chłopcy dostrzegli pióropusz białego dymu, falujący ponad odległymi szczytami. Zatrzymali się i zaczęli obserwować zjawisko.

- Tylko pożaru lasu nam brakowało - jęknął Bob.

- Pali się daleko od nas - uspokoił kolegę Pete. - Jeśli będziemy mieli szczęście, wiatr skieruje płomienie w przeciwną stronę.

Ruszyli dalej. Jupiter zamyślił się głęboko.

Dusty dołączył do obozu wieczorem, godzinę po przyjściu Trzech Detektywów. Podczas posiłku był wyraźnie zatroskany.

- Muszę dać klaczy dzień wytchnienia, bo całkiem mi okuleje - powiedział, kiedy skończył jeść. - Idźcie dalej sami. Dogonię was najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Jest pan pewien, że nas odnajdzie? - spytał Pete.

- O to się nie martw. Bez trudu trafię po waszych śladach.

Następnego ranka Dusty rozdzielił zapasy i Trzej Detektywi samodzielnie ruszyli w dalszą drogę. Blondie nie opierała się, kiedy Jupe dokładał jej bagażu. Niosła teraz oprócz śpiworów jedzenie i garnek. Jupiter szedł wraz z przyjaciółmi na piechotę. Rozbijając na noc obozowisko, chłopcy śmiali się i żartowali. Czuli ulgę, że choć na chwilę uwolnili się od towarzystwa Dusty'ego.

- Niech zgadnę, co będziemy dziś jedli - odezwał się Bob do Pete'a. Jupe zajęty był gotowaniem. - Ryż z fasolą?

- Pudło! - zawołał Pete. - Fasolę z ryżem!

- Na kolację mamy fasolaryżę - zaanonsował Jupiter. - Proszę wyjąć sztucce.

Po posiłku chłopcy zasiedli wokół ogniska. Odpoczywali przez jakiś czas, gdy nagle Blondie zarżała podniecona. Młodzi detektywi skoczyli na równe nogi i zaczęli nasłuchiwać.

Jak zwykle początkowo nic nie słyszeli. Oślica miała o wiele lepszy słuch niż oni. Po jakimś czasie dobiegł ich jednak odgłos kroków. Ktoś zbliżał się w ciemności ku ognisku. W

chwilę później jego płomienie oświetliły sylwetkę potężnego osła, który podbiegł kłusem do obozowiska. Był chyba dużo starszy niż Blondie. Nie był osiodłany, ale z jego boków zwisały przywiązane liną rozmaite pakunki. Za osłem szła kobieta z długimi czarnymi warkoczykami.

Blondie zamilkła. Spotkanie kompana wyraźnie ją ucieszyło. Podbiegła do niego i zwierzęta zaczęły trącać się nosami.

Meksykanka zbliżyła się do chłopców.

- Nie obawiajcie się - powiedziała po hiszpańsku. - Tym razem nie przyszedłam, by ukraść osła. Mam na imię Mercedes. Wiem, kim jesteście, i chciałabym z wami porozmawiać. Bądźcie jednak tak mili i dajcie mi najpierw coś do jedzenia. Umieram z głodu.

Jupiter podał kobiecie talerz fasoli z ryżem. Mercedes zasiadła przy ognisku. Naprawdę musiała być głodna, gdyż nie odezwała się słowem, dopóki nie przełknęła ostatniego kęsa.

Jupiter widział ją jedynie z pewnej odległości w autobusie. Teraz po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się Meksykance z bliska. Obserwował ją bacznie, kiedy się posiłała.

Ocenił, że ma około czterdziestu lat. Była przystojną kobietą o wyrazistych, zdecydowanych rysach twarzy, ciemnobrązowej karnacji i oczach tak czarnych jak oczy Ascencióna. Nosila luźną, wełnianą spódnicę z kieszeniami, bluzkę z krótkimi rękawami i meksykańskie trzewiki. Mogłaby być wspaniałym przyjacielem i niebezpiecznym wrogiem.

Mercedes odstawiła na bok pusty talerz i zerknęła na męski zegarek, który miała na ręku. Pasek zegarka musiał się poluzować, gdyż ześliznął się aż do przegubu dłoni. Kobieta szybko przesunęła go na właściwe miejsce.

- Mam niewiele czasu, gdyż muszę wrócić nad jezioro - wyjaśniła. - Postaram się więc streszczać. - Spojrzała na Jupe'a. - Przepraszam, że nie mówię po angielsku, ale już w autobusie zorientowałam się, że nieźle sobie radzisz z hiszpańskim. Mam rację?

Jupe przypomniał sobie młodego Meksykanina w podartej skórzanej kurtce, który starał się nie dopuścić, by Trzej Detektywi wsiedli do autobusu jadącego do Lareto. Mercedes oczywiście podsłuchiwała jego kłótnię z Jupiterem. Jupe natomiast zauważył, jak kobieta wręczała później pieniądze temu mężczyźnie.

- Rzeczywiście rozumiem, co pani do mnie mówi - potwierdził - o ile nie robi pani tego zbyt szybko.

- Postaram się mówić wolno.

Mercedes podciągnęła kolana pod brodę i zakryła nogi spódnicą. Przez kwadrans opowiadała coś przyciszonym głosem. Jupiter przerywał jej tylko od czasu do czasu, by poprosić o wyjaśnienie znaczenia danego słowa. Kiedy opowieść dobiegła końca, Pierwszy Detektyw był pewien, że zrozumiał całą historię.

Meksykanka podniosła się od ogniska, a wraz z nią wstali trzej chłopcy. Uścisnęła dłoń każdego z nich, po czym tak nagle i tajemniczo, jak się zjawiała, zniknęła w ciemnościach wraz ze swym osłem.

Pete dołożył drewna do ogniska.

- No dobra, to teraz nam powiedz, czego się dowiedziałeś.

- Co za historia! - westchnął Jupiter, kiedy wszyscy trzej ponownie wyciągnęli się na ziemi. - Za chwilę wszystko wam przekażę, ale najpierw chciałbym usłyszeć od ciebie kilka słów o Pancho Villi - zwrócił się do Boba.

- Czy ja jestem meksykańską Biblioteką Narodową? - zawołał chłopiec.

- Daj spokój. Zaczytywałeś się w historii Meksyku, odkąd opuściliśmy Rocky Beach. Skończyłeś już tę książkę?

- Tak. - Bob uśmiechnął się z zadowoleniem. - Dokładnie tego dnia, kiedy sam o mało nie przeszedłeś do historii, niedoszły topielcu.

- Znakomicie. - Jupiter także się uśmiechnął. - Interesuje mnie rok 1916. Co Pancho Villa wtedy porabiał?

- W Meksyku od sześciu lat trwała rewolucja. Francisco Villa, zwany Pancho Villa, był jednym z głównych przywódców chłopskiego ruchu partyzanckiego. Niektórzy uważali go za zwykłego banitę, kogoś w stylu Jesse Jamesa. Jednakże stał on na czele własnej armii, a od 1912 roku był nawet generałem. Wygrał wiele bitew.

- Czy przebywał kiedykolwiek tutaj, w Sierra Madre?

- Tak. Miał tu jedną ze swoich baz. Stąd wyruszał na dół, by napadać na pociągi, po czym wracał do kryjówki.

Jupiter w zamyśleniu pokiwał głową.

- Przynajmniej tym razem Mercedes powiedziała prawdę - szepnął.

- Czy to znaczy, że przez cały czas tylko o tym nawijała? - zdziwił się Pete. - O nieboszczyku Pancho Villi?

- Nie tylko. - Jupe zerknął na Boba i ciągnął dalej: - Niewykluczone jednak, że wpadliśmy na ślad skarbu z Sierra Madre, o którym tyle mówicie. Łupu Pancho Villi. Mercedes powiedziała mi, że pewnego dnia obrabował on pociąg, w którym przewożono srebrne pesos, warte setki tysięcy dolarów. Pancho Villa przeniósł monety w góry i ukrył w jaskini. Na nieszczęście wybrał tę samą jaskinię, w której mieścił się magazyn prochu strzelniczego, jeden z kompanów przywódcy zapomniał o zachowaniu ostrożności i cały magazyn eksplodował. Część skał zawałiła się i pogrzebała pod tonami kamieni całe srebro. Spadające odłamki zabiły kilku żołnierzy Villi. On sam próbował oczyścić wejście do jaskini, ale nie zdążył tego zrobić, gdyż zaatakowali go przeciwnicy i musiał szybko opuścić góry.

Jupiter na chwilę przerwał opowieść.

- Mercedes twierdzi, że srebrne monety ciągle tu są - dodał na zakończenie.

Pete i Bob milczeli. Rozmyślali o tym, co właśnie usłyszeli.

- Skąd ona o wszystkim wie? - spytał wreszcie Pete.

- Powiedziała, że jej dziadek był jednym z żołnierzy Villi i przekazał całą historię rodzinie.

- Co mówiła o Dustym? - dopytywał się Bob. - Wyłowiłem z potoku słów jego imię. Domyśliłem się również, że była mowa o osiołku.

- Właśnie do tego zmierzam - oświadczył Jupe. - Według Mercedes około trzech miesięcy temu zszedł z tych gór jej bliski przyjaciel, młody Amerykanin o imieniu Brit. Wraz

z ojcem przetrząsał teren, szukając jaskini Pancho Villi. Oby panom wydawało się, że ją znaleźli. Przynajmniej tak powiedział Mercedes Brit.

Jupiter znowu przerwał relację, coś sobie przypominając.

- Mów dalej - ponaglił Bob. - Czekamy na historię o Dustym i Blondie.

- Kiedy Brit pojawił się nad jeziorem - kontynuował Jupiter - towarzyszyła mu mała oślica. Spotkał ją w górach. Jak oszalała kręciła się w pobliżu jaskini. Zaprzyjaźnił się z nią i sprowadził na rancho Dusty'ego. Potem już sam wrócił w góry.

- Dlaczego nie zostawił jej tam, gdzie ją znalazł? - spytał Pete.

- Ponieważ bał się, że zdechnie, jeśli nie otrzyma pomocy weterynarza. Najbliższy przyjmował w Lareto. Na szczęście wyleczył Blondie.

- Co jej dolegało? - dopytywał się Pete. - No wiesz, nie mogła być bardzo chora, skoro zdołała przebyć tak długą drogę na rancho.

- Cierpiała na paskudną infekcję oczu - wyjaśnił Jupe. Ta część opowieści Mercedes zaintrygowała go najbardziej. Przyniosła odpowiedź na pytanie, które od kilku dni nie dawało mu spokoju: Dlaczego Blondie rozpoznała go jedynie po głosie? Czemu nie zorientowała się, że Jupiter wygląda zupełnie inaczej niż chłopiec, któremu wcześniej zufała.

- Kiedy Brit znalazł oślicę w górach - ciągnął Pierwszy Detektyw - była całkiem ślepa.

- Jupiter przypomniał sobie słowa Ascencióna: "To zwierzę myśli, że uratowałeś mu życie".

Pete zagwizdał cicho.

- Wszystko zaczyna się układać - powiedział. - Jeśli Dusty się dowiedział, że Brit i jego ojciec znaleźli srebro Pancho Villi...

- Tak - przerwał mu Jupe. - Mercedes mówiła, że ranczer próbował tropić Brita, ale chłopiec był zbyt szybki i inteligentny, by tego nie zauważyć. Zatarł własne ślady. Tak więc Dusty'emu została Blondie. Tylko ona mogła doprowadzić go do skarbu. Jednakże oślica nie miała zamiaru prowadzić go dokądkolwiek, chyba że towarzyszyłby mu chłopiec, którego głos zapamiętała i mogła rozpoznać go na końcu świata.

- Dusty musiał więc znaleźć chłopaka, którego głos przypominałby głos Brita - domyślił się Pete. - Temu miał służyć ten zwariowany konkurs.

- I ty go wygrałeś - wtrącił Bob. - Zastanawia mnie jednak, dlaczego Mercedes opowiedziała ci o jaskini i ukrytych pesos.

- No właśnie - dodał Pete. - Skoro próbowała udaremnić nam jazdę tym autobusem....

To samo niepokoiło Jupitera.

- Nie pozwoliła mi zadawać żadnych pytań - powiedział. - Mogłem jedynie prosić o wyjaśnienie znaczenia niektórych słów. Przekazałem wam więc jedynie to, czego sam się dowiedziałem. Mercedes nie ufa Dusty'emu ani na jotę. Nie wierzy, że jego klacz zaczęła kuleć. Podejrzewa, że dzieli go od nas zaledwie kilka godzin marszu. Boi się, że ten typ zabije Brita i jego ojca, kiedy ich odnajdzie. To samo zrobi z nią, jeśli ją tu spotka. Dlatego postanowiła wrócić nad jezioro. Chce, żebyśmy udali się stąd do jaskini i ostrzegli Brita oraz jego ojca, że Dusty jest w pobliżu i lada moment może się pojawić.

Zapanowało długie milczenie. Trzej Detektywi wpatrywali się w migotliwe płomienie ogniska.

- Wierysz jej? - przerwał w końcu ciszę Pete.

- Sam nie wiem - przyznał Jupe. - Dlaczego tak jej zależy, byśmy ostrzegli Brita i jego ojca? A może chce, żebyśmy znaleźli srebro?

- To niewykluczone - zgodził się Bob. - Mogłaby nas śledzić i potem zagarnąć całą forszę dla siebie.

ROZDZIAŁ 11

KTO TO MÓWI?

Następnego ranka Trzej Detektywi wstali przed świtem. Podczas śniadania, które jedli w wielkim pośpiechu, rozmawiali jeszcze trochę o Mercedes.

- Ubiegłej nocy co najmniej raz próbowała nas oszukać - przypomniał sobie Jupiter.

- W którym momencie? - spytał Pete.

- Kiedy spojrzała na zegarek i powiedziała, że musi wracać nad jezioro. Chciała, żebyśmy myśleli, iż zamierza to zrobić natychmiast.

- Masz rację - zgodził się Bob. - Jak daleko by zaszła nocą w takim terenie?

- Jeszcze jedno zwróciło moją uwagę - ciągnął Jupiter. - Pamiętacie, Mercedes ześliznęła się zegarek i gwałtownie przesunęła go na właściwe miejsce. Pomyślałem... - wzruszył ramionami - właściwie sam nie wiem... Może to było złudzenie optyczne? Wydawało mi się, że zobaczyłem na jej ręku coś jakby bliznę.

Żaden z pozostałych chłopców niczego nie zauważył. Bob jednak chciał dodać coś jeszcze.

- Dama kręci, to pewne - uśmiechnął się szeroko. - Po pierwsze, niewiele Meksykanek używa szkieł kontaktowych. Po drugie...

- Szkieł kontaktowych? - przerwał Pete.

- Zauważyłem, jak je czyściła w autobusie. Pochyliła głowę, więc trudno mi było zobaczyć, co robi. Miała jednak taki sam zestaw do konserwacji szkieł, jak ja.

- Co "po drugie"? - niecierpliwił się Jupiter. Dostawał szału, kiedy przyjaciel tak od niechcenia sączył spóźnione informacje.

- Po drugie - irytujący uśmiezek nie schodził z twarzy Boba - może ktoś wie, dlaczego nasza dama gania po Sierra Madre z walkie-talkie? - Chłopiec skończył jeść fasolę i czyścił teraz talerz garścią sosnowych igieł. Jupiter policzył w myślach do dziesięciu. - Kiedy nadawała ci o Pancho Villi, zauważyłem antenkę wystającą z jednej z paczek przywiązanych do grzbietu osła. Podszedłem, żeby sprawdzić, czy się nie mylę. Zapewniam was, że było tam walkie-talkie.

- Kogo chciała tu przywołać? - zdziwił się Pete. - Na pewno nie Dusty'ego. Tyle razy pomagałem mu ładować i rozładowywać tego głupiego konia, że mógłbym przysiąc, iż ranczer nie ma żadnego aparatu.

- Za to ma go Ascención - przypomniał Jupe. - Sam pomagałem mu go naprawić. Ale nie znam na świecie walkie-talkie, które zdołałoby przekazać transmisję z takiej odległości, jaka dzieli góry od rancza.

Chłopcy wstali i starannie ugasili ognisko, po czym spakowali swoje manatki, a Jupe przywiązał je do grzbietu Blondie.

- Co będzie, jeśli się okaże, że Mercedes nie wraca nad jezioro? - powiedział z zamyśloną miną Jupe, poklepując oślicę po karku. - Że kryje się teraz gdzieś między tymi skałami? - Zaczęło się rozwidniać i Pierwszy Detektyw rozejrzał się dokoła. - Czekaj, kiedy wyruszymy, by pójść naszym śladem. Nie chce jednak, byśmy się zorientowali, że i ona ma chrapkę na srebrne monety.

Pete wzruszył ramionami.

- Cóż, w takim wypadku jesteśmy bezradni. Nie zdołamy zatrzeć wszystkich śladów, które zostawiamy.

- To prawda. - Jupiter chwycił osiołka za uzdę i ruszyli. - Ale mamy nad nią jedną przewagę.

- Jaka?

- Minionej nocy Blondie zawarła przyjaźń z jej osłem. Alfred Hitchcock powiedział, że jeśli jakiś osiołek raz pozna drugiego, potrafi potem wyczuć jego obecność z dużej

odległości. Zaczyna go przywoływać. Jeśli więc Mercedes zanadto się do nas zbliży, Blondie da nam o tym znać.

Nigdy dotąd nie szli tak trudną trasą, jak tego dnia. Blondie zaczęła się wspinać na najwyższą i najbardziej stromą górę, jaką chłopcy kiedykolwiek widzieli. Mała oślica pokonywała zygzakiem głębokie żleby i wolno posuwała się w stronę odległego wierzchołka.

Ani razu nie zatrzymała się ani nie zaryczała. Chociaż Trzej Detektywi co i rusz oglądali się do tyłu, nie dostrzegli śladu Mercedes i jej osła.

Zobaczyli za to kolejny gruby pióropusz dymu. Zdawał się unosić z płaskiego wierzchołka góry, na którą się wspinali.

- Najdziwniejszy pożar lasu, jaki kiedykolwiek widziałem - powiedział Pete. - Przecież wyżej nie ma żadnych drzew, zaledwie kilka kaktusów.

- Masz rację - przyznał Jupiter. - Ale może dymi z drugiej strony góry. Jeśli ogień okrąży nas, będziemy mieli odciętą drogę ucieczki.

- Wspaniale - rzucił z ironią w głosie Bob. - Jakby mało było psychopatycznego kłamcy i przebiegłej kobiety, którzy depczą nam po piętach, to teraz czeka nas jeszcze walka z żywiołem.

Pete obserwował niebo.

- Nigdy również nie widziałem dziwniejszego dymu - ciągnął. - Unosi się do góry, ale nie zostaje, tylko po prostu nagle znika.

Bob popatrzył na przelatujące im nad głowami ptaki: sokoły, kanie i sępy.

- Szczęśliwcy - westchnął. - Mogą stąd odlecieć, zanim się usmażą.

Chłopcy uparcie posuwali się naprzód. Nawet Jupiter zwawo jak nigdy podążał śladem Blondie. Chęć rozwiązania zagadki dodawała mu energii, no a poza tym ubył mu parę centymetrów w pasie. Nim nastało południe, on i jego oślica znacznie wysforowali się przed Pete'a i Boba.

Nagle dwaj pozostający w tyle chłopcy usłyszeli głos Jupitera, odbijający się echem od górskich zboczy.

- Stać! - krzyknął. - Nie ruszać się z miejsca!

Obaj natychmiast się zatrzymali. Spojrzeli w górę i zobaczyli, że Jupe unosi ręce ponad głowę.

- Można iść! - brzmiała następna komenda. - Powoli, tuż za osiołkiem.

Pete i Bob popatrzyli jeden na drugiego. Co ten Jupiter wygaduje, do licha? Przecież od początku nic innego nie robią, tylko posuwają się w ślad za Blondie.

Nie spuszczać kolegi z oczu, zaczęli pomału piąć się w górę. Widzieli, że Pierwszy Detektyw kroczy tuż za oslicą. Z jakiegoś nie znanego im powodu ciągle ma uniesione ręce.

Nagle zatrzymał się gwałtownie.

- Nie zbliżać się ani na centymetr! - usłyszeli jego głos. - Kto i po co tu idzie? Czego chce?

Bob i Pete znowu popatrzyli na siebie. Sytuacja z minuty na minutę stawała się coraz bardziej dziwna. Po chwili ich przyjaciel znowu się odezwał i teraz byli już pewni, że ktoś tu zwariował.

- Nazywam się Jupiter Jones! - zawołał Jupe. - Mam dla ciebie wiadomość.

Jupe nie zastanawiał się, jaki efekt wywrą jego słowa na kolegach. On wiedział, że sytuacja nie jest dziwna, lecz groźna. Wszedł zza zakrętu ścieżki i ujrzał, że ze szczeliny w skale wystaje wymierzona w niego lufa strzelby.

- Stać w miejscu! - krzyknął nieznajomy głos.

Najbardziej zdziwił Jupitera fakt, że na dźwięk tych słów Blondie znieruchomiła i zastrzygła uszami. Po chwili zarżała cicho.

Jupe otrzymał następane polecenia, że ma wolno posuwać się za oślicą. Wykonał je posłusznie. Blondie zatrzymała się metr przed wylotem lufy, ciągle wymierzonej prosto w Jupitera.

Zza skał wyszedł chłopak mniej więcej w wieku Jupe'a. Był wyższy niż Pierwszy Detektyw, miał potargane jasne włosy i głęboką opaleniznę na twarzy. Ubrany był w dżinsy, meksykańskie buty i dżinsową kurtkę. Nawet kiedy Jupe się przedstawił, nieznajomy podszedł do niego, nie opuszczając strzelby. Nie patrzył już jednak na Jupitera, lecz na małą białą oślicę.

- Blondie, jak się tu dostałaś? - spytał.

Na dźwięk jego głosu oślica poruszyła uszami, po czym odwróciła łeb i popatrzyła na Jupe'a. Potem znowu spojrzała na blondwłosego chłopaka. Wydawała się kompletnie zagubiona.

Jupiter poklepał ją po szyi.

- Ja ją przyprowadziłem - wyjaśnił. - A ściślej mówiąc, to ona przyprowadziła mnie. Czy ty jesteś Brit?

Jasnowłosy chłopak nic nie odpowiedział. Nadal celując w Jupe'a, podszedł do skraju wąskiej ścieżki i spojrzał w dół. Ujrzał Boba i Pete'a, którzy mozolnie pieli się do góry.

- Kim są ci dwaj hombres - spytał podejrzliwym tonem.

Jupe pospiesznie wyjaśnił, że to jego kalifornijscy przyjaciele.

- Zjawiliśmy się tu, by ci pomóc - ciągnął. - Bo ty jesteś Brit, prawda? - powtórzył pytanie.

- Tak. - Chłopak wciąż nie opuszczał strzelby. - W jaki sposób zamierzacie mi pomóc?

- Chcemy się ostrzec przed Dustinem Rice'em...

- Gdzie on jest? - Spojrzenie Brita nagle stało się czujne. - W dole z twoimi przyjaciółmi?

- Nie. Wyruszył wraz z nami, ale po drodze jego koń zaczął kuleć. Przynajmniej on tak twierdził. Zostawiliśmy go wiele kilometrów z tyłu. Jednakże jutro może tu dotrzeć.

- Dzięki, że mi to mówicie. - Brit zabezpieczył zamek strzelby i przewiesił ją przez ramię. - Jak tu trafiliście?

- Blondie nas przyprowadziła. Wróciła do miejsca, skąd przyszła.

- Jakim cudem Dusty zdołał ją tak szybko oswoić?

- Wcale jej nie oswoił. Nadal jest dzika, jestem jedyną osobą, której pozwala się do siebie zbliżyć. Uważa, że ocaliłem jej życie. Myśli, że jestem tobą.

- Dlaczego?

- Z powodu naszych głosów. Być może nie zwróciłeś na to uwagi, ale brzmią niemal identycznie. Kiedy Blondie po raz pierwszy usłyszała mój głos, wydawało jej się, że mnie rozpoznała. Ten głos zaprowadził ją w bezpieczne miejsce, kiedy oślepla. Teraz kojarzy go z moim wyglądem i dlatego tak się zdziwiła na twój widok.

Brit uśmiechnął się do oślicy.

- Chodź tu, Blondie - powiedział miękko. - Przyjdź do mnie, dobra, mała Blondie.

Uszy oślicy zadrgały, ale ostrożnie zbliżała się do Brita. Nie cofnęła się, kiedy poklepał ją po szyi. Ciągle przemawiał do niej i w pewnym momencie Blondie potarła nosem jego pierś.

W chwilę później na górę dotarli Bob i Pete.

Jupe przedstawił sobie wszystkich.

- Pete Crenshaw i Bob Andrews - oznajmił - a to jest Brit...

- Douglas - dokończył jasnowłosy chłopiec. - Witajcie. Miło was poznać.

Pete i Bob uśmiechnęli się. Teraz zrozumieli już sens dziwnej rozmowy. Wzięli głos Brita za głos Jupitera.

- Myślę, że chętnie napijecie się wody - powiedział Brit. - Chodźcie za mną do mojej kryjówki.

Chłopiec chwycił Blondie za uzdę i poprowadził nowych przybyszów skrajem skalnej półki, a potem w górę wijącą się ścieżką. Na końcu zatrzymali się przed na wpół ukrytym wejściem do jaskini.

- Pochylcie głowy - ostrzegł Brit, kiedy chłopcy weszli za nim do wąskiego tunelu.- Jesteśmy na miejscu - oznajmił w pewnej chwili. - Możecie się wyprostować.

Do wnętrza docierało poprzez tunel niewiele światła, ale mimo to Trzej Detektywi zorientowali się, że stoją w ogromnej, wysoko sklepionej jaskini.

Brit potarł zapalną i zapalił świecę. Jupe domyślił się, że chłopiec mieszka tu już od pewnego czasu. Na ziemi leżał zwinięty śpiwór, pod ścianami garnki i patelnie, kuchenka naftowa, kilka do połowy napełnionych worków oraz szufle i kilofy. Gładkie sklepienie jaskini świadczyło o tym, że nigdy nie eksplodował w niej proch strzelniczy. Z pewnością nie tutaj Pancho Villa ukrył swój łup.

Brit podniósł jeden z worków i wysypał na ziemię porcję owsa.

- Dobrze, że tata trzyma go dla koni - powiedział. - W pobliżu nawet mały głodny osiołek nie miałby się czym pożywić.

Bob spojrzał na pojedynczy śpiwór.

- Gdzie jest twój tata? - spytał Brita.

- Dlaczego cię to ciekawi? - Chłopiec znowu stał się czujny.

- Bo jego również powinniśmy ostrzec przed Dustym.

Brit nalał z glinianego dzbana wody do garnka, by Blondie mogła się napić.

- Tata wziął konie i zszedł w dolinę. Musi uzupełnić zapasy.

Chłopiec wręczył Pete'owi dzban i każdy z detektywów pociągnął z niego spory łyk orzeźwiającej wody.

- Poszedł w kierunku jeziora? - spytał Jupiter. - Mam nadzieję, że nie natknął się na Dusty'ego.

- Na pewno nie. Udał się w zupełnie innym kierunku. Po drugiej stronie góry leży pewna osada. Jest w niej tylko kilka sklepów i tata nie zdoła kupić w nich tego, co jest nam tu potrzebne. W wiosce nie ma nawet weterynarza. Zatrzymuje się tam jednak autobus, który jedzie do...

Brit przerwał i popatrzył na chłopców, jakby rozważał, czy może im zaufać.

- Dlaczego zjawiliście się w tych górach? - spytał.

- To był pomysł Dusty'ego.

Nadeszła pora, by przedstawić Britowi całą historię. Jupe opowiedział o krzyżówce, o konieczności nagrania rozwiązanych haseł na kasetę. O tym, jak zrozumieli, czemu miała służyć cała zabawa: Dusty chciał po prostu znaleźć srebrne pesos Pancho Villi.

Brit, siedzący na ziemi wraz z Trzema Detektywami, przysłuchiwał się dotąd w milczeniu relacji Jupe'a. Teraz wstał gwałtownie.

- Dusty opowiedział wam o srebrze? - zapytał ze złością. Dlaczego to zrobił? Obiecał podzielić się z wami łupem, jeśli go znajdziecie?

- Nie - zapewnił go Pete. - Dusty nigdy nie pisał na ten temat ani słowa. Zaproponował wyprawę w góry po to, by Blondie mogła sobie pościerać kopyta na kamienistych ścieżkach.

- Co za bzdura!

- To Mercedes opowiedziała nam o Pancho Villi.

- Kim jest Mercedes? - Brit z namysłem zmarszczył czoło.

Bob opisał jej wygląd: długie czarne warkoczyki, ciemne oczy.

- Jest Meksykanką?

- Chyba tak - odparł Jupe.- Nigdy nie słyszałem, by mówiła inaczej niż po hiszpańsku. Poza tym ma ciemną karnację.

Widać było, że w tym momencie jego samego ogarnęły wątpliwości.

- Mercedes poleciła nam, byśmy ostrzegli was przed Dustym. Przedstawiła się jako wasza bliska przyjaciółka. Znasz ją, prawda? - spytał Pete.

Brit pokręcił głową.

- Nigdy nie słyszałem tego imienia - przyznał. - I o ile wiem, również nigdy w życiu nie widziałem tej kobiety.

ROZDZIAŁ 12

NIEPEWNA SYTUACJA

- W tych górach jest pełno jaskiń - powiedział Brit. - Pancho Villa i jego kompani prawdopodobnie większość z nich wykorzystywali jako kryjówki. Tata jest jednak pewny, że znaleźliśmy tę, w której Villa ukrył srebrne pesos.

Czterej chłopcy siedzieli w jaskini na zwiniętych śpiworach. Brit przygotował na kolację ulubione danie Trzech Detektywów: fasolę z ryżem. Ciemności rozjaśniały trzy palące się świece. Brit zawiesił koc nad wejściem do groty, żeby światło nie było widoczne z zewnątrz. Blondie stała w rogu pomieszczenia i z zadowoleniem skubała owies.

- Skąd wiecie, że trafiliście na właściwą jaskinię, skoro jest ich tu pełno? - spytał Pete.

- Po pierwsze, wejście do niej zablokowane było oberwanymi głazami - wyjaśnił Brit.
- Po drugie, kiedy przesunęliśmy kilka z nich, znaleźliśmy Ignacia.

- Któż to taki?

- Jeden z żołnierzy Villi - odparł Brit. - Oczywiście był trochę niekompletny, jako że od wielu lat leżał zasypany tonami kamieni. Po prostu szkielec z zachowanymi fragmentami umundurowania. A jego czaszka...

- Mógłbyś przestać? - spytał uprzejmie Pete. - Chciałbym jednak coś zjeść...

- Nieboszczyki wyraźnie pozbawiają naszego przyjaciela apetytu - zaśmiał się Bob.

- Och, nie bójcie się, wyprawiliśmy mu godny pogrzeb - powiedział ze śmiechem Brit.
- Tata postawił na grobie krzyż, na którym wrył napis: "Ignacio Allende", by upamiętnić jednego z największych meksykańskich bohaterów wojennych. Allende był dla Meksykan kimś w rodzaju George'a Washingtona i...

- Czy dostaliście się już do wnętrza tej jaskini? - Pete zdecydowanie wolał zmienić temat.

Brit potrząsnął głową.

- Kilofami i łopatami przesunęliśmy kilka gładów, ale nie daliśmy rady dotrzeć dalej, tam, gdzie ukryte jest srebro. Dlatego tata pojechał po materiały wybuchowe.

- Jak sądzisz, kiedy wróci? - spytał Jupe.

- Nie wcześniej niż za trzy, cztery dni. Do leżącej w dole wioski jest stąd zaledwie około kilku godzin drogi. Tata zostawi tam konie, by najadły się do syta i odpoczęły. Oba będą mu potrzebne do przydźwignania na górę zakupów. Sam natomiast pojedzie autobusem do odległego Chihuahua. To najbliższe miasto, w którym będzie mógł kupić dynamit i inne potrzebne nam rzeczy.

- Czyli sami będziemy musieli stawić czoło Dusty'emu, i być może Mercedes - podsumował Bob. - Jeśli zgodnie zagramy, we czterech damy sobie radę.

Brit popatrzył na nowo pozyskanych przyjaciół.

- Cieszę się, że nie jestem sam - powiedział. - Wspaniale, że chciało wam się tu przyjść, by ostrzec mnie przed Dustym. W końcu nawet mnie nie znaliście.

- No tak... - Jupiter uświadomił sobie, że nie poinformował Brita, kim naprawdę są. - Szczerze mówiąc, nie chodziło nam tylko o ciebie. Zajmujemy się tą sprawą i zamierzamy doprowadzić ją do końca.

- Zajmujecie się sprawą? - Brit nie zrozumiał, co Jupiter miał na myśli. - Pracujecie jako prywatni wywiadowcy czy co?

- Dokładnie tak - odparł Jupe. - Jesteśmy prywatnymi detektywami.

Wyjął z kieszeni wizytówkę i wręczył ją Britowi.

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

Jupiter Jones założyciel

Pete Crenshaw współpracownik

Bob Andrews współpracownik

Brit długo wpatrywał się w kartonik. Zmarszczył czoło i powoli zaczął czytać na głos, przekreślając poszczególne słowa.

- Rzejt Tedektywi - odcyfrowywał z mozołem. - Tejrz...

Oddał wizytówkę Jupiterowi.

- Lepiej sam mi to przeczytaj - poprosił.

Jupe nie musiał niczego czytać. Wyrecytował treść wizytówki z pamięci.

- Och. - Zakłopotany Brit odwrócił głowę i spojrzał w kąt, gdzie posilała się Blondie. - Nie jestem analfabeta, umiem czytać - wyjaśnił. - Cierpię jedynie na dysleksję. Wiecie, co to, takiego?

- Jasne - przyznał ze współczuciem w głosie Bob. - Dyslektycy widzą litery w niewłaściwej kolejności. Ostatnio przeprowadzono wiele eksperymentów, związanych z tą przypadłością. Posługiwano się kolorowymi soczewkami.

- Po powrocie do domu mama zamierza wysłać mnie do specjalisty. Teraz jednak mam trudności z czytaniem i pisanem. Kiedy chcemy przekazać sobie wiadomości, nagrywamy je na kasetę i przesyłamy pocztą.

Jupe milczał. Szare komórki znowu zaczęły mu pracować ze zdwojoną intensywnością.

Kolejny fragment układanki dopasował się do obrazka. Chłopiec przypomniał sobie kasety, którą znalazł w skrzynce pocztowej. “Nie przyjeżdżaj do Meksyku, bo narazisz się na ogromne niebezpieczeństwo...”

Na kasecie nagrany był głos Brita. Teraz Jupe nie miał już co do tego wątpliwości. Być może był to fragment dłuższego listu, który Brit wysłał mamie. Ona lub ktoś inny skasował wszystko poza paroma zdaniami, a potem włożył kasetę do skrzynki obok domu Jupitera. Było to ostrzeżenie. I jednocześnie wskazówka.

Pierwszy Detektyw uśmiechnął się do Brita.

- Czy twoja mama przebywa teraz w Los Angeles? - spytał.

- Mam nadzieję, że tak. Jest jednak okropnie uparta i... - Znowu skierował spojrzenie w kąć jaskini, jakby nie chciał już nic więcej powiedzieć.

Jupe nie zamierzał go naciskać. Mimo to musiał koniecznie uzyskać jeszcze jedną informację.

- Czy jesteś podobny do mamy? - zapytał. - Czy ona również ma jasne włosy?

- Tak. I niebieskie oczy. Dlaczego cię to interesuje?

- Po prostu byłem ciekaw. - Jupe ziewnął i przeciągnął się. - Co wy na to, byśmy walnęli się spać?

Koledzy poparli pomysł. Pięć minut później pogasili świece, zdjęli koc zasłaniający wejście do jaskini i ułożyli się w śpiworach.

Następnego ranka Jupe obudził się bardzo wcześnie. Z zewnątrz przedostawało się do jaskini przez tunel słabe światło dnia. Poszukał wzrokiem Blondie. Nie było jej w środku.

Chłopiec wygramolił się ze śpiwora i wyszedł na poszukiwanie oślidy. Od razu ją zauważył. Stała około dwudziestu metrów od ścieżki prowadzącej do jaskini. Uniosła głowę i rżała cicho. W głosie zwierzęcia nie słychać było niepokoju. Brzmiał przyjaźnie. Po chwili z dołu nadbiegło kolejne porykiwanie, jakby odpowiedź na sygnał Blondie.

Jupe domyślił się, że w pobliżu znajduje się osioł należący do Mercedes. Cofnął się szybko, by skryć się za skałą. Wkrótce dołączyli do niego pozostali chłopcy. Oni również usłyszeli porykiwania.

Blondie i jej niewidoczny przyjaciel nadal spokojnie przekazywali sobie zrozumiałe tylko dla nich sygnały. Po jakimś czasie chłopcy zobaczyli dużego osła, który wspinał się stromym zboczem. Blondie podbiegła do niego i zwierzęta zaczęły ocierać się o siebie.

Osiół Mercedes ciągle miał na sobie uprząż z liny, ale pakunki znikły już z jego grzbietu. Wschodzące słońce rozjaśniło niebo. Chłopcy uważnie rozejrzeli się dokoła. Nigdzie nie było widać śladu Mercedes.

- Zaprowadźmy oba osiołki do jaskini - zaproponował Pete. - Jeśli Mercedes zauważy Blondie, będzie wiedziała, że jesteśmy w pobliżu.

Brit i Jupe wprowadzili zwierzęta do środka, a Pete i Bob weszli tam za nimi.

- Nie ufacie Mercedes, prawda? - spytał Brit.

- Ta kobieta stanowi kolejną zagadkę - przyznał Jupe. - Prosiła nas, byśmy ostrzegli cię przed Dustym, ale powiedziała również, że przyjaźni się z tobą i twoim ojcem. Ty zaś twierdzisz, że nigdy w życiu nie widziałeś jej na oczy. Bob ma rację, że ona coś kręci.

Oba osiołki były głodne. Brit nakarmił je i napoił natychmiast, kiedy znalazły bezpieczne schronienie w jaskini. Pete przygotował fasolowo-ryżowe śniadanie. Jupe zrozumiał, jak bardzo tęskni za zieleniną.

Nie spożywali posiłku wspólnie. Pierwszy Detektyw jadł śniadanie u wylotu jaskini. Leżał płasko na ziemi, niewidoczny dla kogoś z zewnątrz, i rozglądał się bacznie, czy nie nadchodzi Mercedes. Chłopcy ustalili, że co godzinę będą się zmieniać na stanowisku obserwatora.

Najpierw Jupe poczuł, że ziemia, której dotykał klatką piersiową, lekko zadrżała. Widelec wypadł mu z dłoni. Chłopiec już tyle razy przeżywał trzęsienia ziemi w Los Angeles, że miał pewność, iż teraz jest to inne zjawisko. Nie poczuł żadnego nagłego wstrząsu. Podobne wrażenia odnosi się raczej wtedy, kiedy stoi się przy krawężniku, a obok przetacza się potężna ciężarówka.

Powiedział o tym Bobowi, który godzinę później przyszedł go zwolnić z wachty.

- Czuliśmy to samo w jaskini - potwierdził Bob. - W tych górach może być nieprzyjemnie. A właśnie, co z tym pożarem lasu, który zauważyliśmy wczoraj?

Obejrzał się, jednakże niczego nie zobaczył, gdyż pionowa skała stercząca powyżej wylotu jaskini zasłaniała wierzchołek góry.

- *Quien sabe?* - odparł Jupe. Bob zaczął wypatrywać Mercedes.

Dwie godziny później na warcie siedział Pete. W pewnej chwili wydało mu się, że poniżej jego stanowiska coś się porusza. Zagwizdał, co było umówionym sygnałem dla kolegów siedzących w jaskini.

- Gdzie? - wyszeptał Jupe, kiedy wszyscy czterej leżeli już płasko na ziemi przy wejściu do jaskini.

- Tam na lewo - Pete wskazał ręką w dół.

Nic więcej nie musiał mówić. Chłopcy zobaczyli poruszającą się w oddali postać.

Mężczyzna, który wspinał się powoli w ich stronę, miał na głowie stetsona, a w ręku trzymał strzelbę.

Bez wątpienia był to Dusty.

ROZDZIAŁ 13

PRZEWIDYWANIE

- Nie ma sensu ukrywać się w jaskini - wyszeptał Jupe. - Dusty pójdzie po śladach prosto do tunelu. Jeśli zaczniesz strzelać...

- Przygotujmy na niego jakąś zasadzkę - odpowiedział Bob.

- Zgoda. - Jupiter pokiwał głową. - Mam pewien pomysł. Może się uda.

- No dobrze, mów - zachęcił cicho Pete.

- Nie tutaj.

Jupe, pochylając się, wracał już do jaskini, a za nim pozostali chłopcy.

W chwilę później Jupe, Brit i Bob wyłonili się z powrotem z tunelu. Brit skulił się, trzymając strzelbę przewieszoną przez ramię. Poczekał, aż Dusty zniknie z pola widzenia, po czym zszedł ostrożnie krętą ścieżką i ukrył się pomiędzy skałami. Bob szybko ruszył za nim i wkrótce jego również nie było już widać.

Jupe pozostał przy wylocie tunelu. Leżał na ziemi i obserwował kolejne ruchy Dusty'ego, który krok za krokiem, trzymając strzelbę w pogotowiu, wspinał się po śladach kopyt Blondie.

Pierwszy Detektyw czekał, by Dustin Rice zbliżył się do niego na odległość nie większą niż dwadzieścia metrów.

- Dusty, to ja, Brit! - zawołał.

- Brit? - Dusty przesunął palec na spust. - Gdzie jesteś?

- Tutaj! - krzyknął Jupe. - Trzymam pana na muszce!

Dusty roześmiał się głośno.

- Proszę bardzo, strzelaj. Zorientuję się wtedy dokładnie, gdzie jesteś, i zdmuchnę cię stamtąd natychmiast.

Ranczer doszedł do końca ścieżki i lekkimi susami posuwał się dalej.

- Czego pan chce? - Jupe upozorował drżenie głosu. - Dlaczego pan tu przyszedł?

- Porozmawiać. Uciąć sobie przyjacielską pogawędkę z tobą i twoim ojcem na temat Pancho Villi.

- Rzuć broń.

Prawdziwy Brit wynurzył się zza skał za plecami ranczera i szturchał go teraz mocno lufą swojej strzelby. Dusty był wyraźnie oszołomiony.

- Ruszaj się. Rzuć ją na ziemię - rozkazał stanowczo Brit.

Plan Jupitera opierał się na zaskoczeniu. Dusty miał myśleć, że rozmawia z Britem, który znajdował się powyżej niego, by po chwili usłyszeć jego głos tuż za plecami. Ranczer co prawda nie rzucił strzelby, ale był na tyle zdezorientowany, że opuścił ją nieco.

- Nie odwracaj głowy - odezwał się Brit tym samym stanowczym głosem.

Tak jak podejrzewał Jupe, właśnie to Dusty zrobił. A przynajmniej miał zamiar.

W tym momencie z kryjówki wyskoczył Bob.

Dusty miał już głowę na wpół obróconą w stronę Brita. Nawet się nie zorientował, kiedy Bob wyrwał mu strzelbę z dłoni i cisnął w rosnącą dziesięć metrów dalej kępę kaktusów.

Pomrukując z wściekłością, Dusty zwrócił się do Boba. Chłopiec szybko przybrał postawę karateki. Nie był co prawda tak dobrym zawodnikiem jak Pete, ale odznaczał się siłą i refleksem. Pomyślał, że da radę pokonać Dusty'ego, jeśli mężczyzna go zaatakuje.

Ranczer jednakże zostawił Boba w spokoju. Nagłym ruchem obrócił się ku Britowi. Wykonał zamach ramieniem i mocno uderzył chłopca w głowę. Brit zatoczył się do tyłu. Bob

rzucił się naprzód, lecz Dusty już zaciskał ręce na lufie strzelby. Wyszarpnął ją z rąk Brita, cofnął się o krok i wycelował w Boba.

- No dobra, żartownisie. Zabawa skończona. - Uśmiechnął się szyderczo. - Ruszajcie w dół. I niech mi się żaden nie zatrzyma, dopóki nie zniknie mi z oczu.

Rozbrojeni chłopcy nic nie mogli zdziałać. Gdyby Brit wykonał następny ruch, Dusty zastrzeliłby Boba. Pomału zaczęli schodzić ścieżką. Dusty czekał. Kiedy oddalili się o dobre sto metrów, odwrócił się i zaczął się wspinać w stronę Jupitera.

- Chodź tu, grubasie - zawołał. - Wyłaż albo zacznę strzelać.

Jupe wstał. Dusty zacisnął palec na spuście.

- W porządku. Za chwilę dołączysz do swoich koleśków. Najpierw jednak muszę ci zadać kilka pytań.

Jupe dałby wszystko, by dosięgnąć ranczera chwytem judo, ten jednak mierzył do niego prosto w klatkę piersiową. Wysunięta lufa nie pozwalała chłopcu przysunąć się dostatecznie blisko.

- Gdzie jest ojciec Brita?

Jupe szybko podjął decyzję. Musiał przekonać Dusty'ego, że w jaskini nikogo nie ma.

- Poszedł z Pete'em po wodę - odparł.

- Dlaczego nie spotkałem ich po drodze?

- Źródło znajduje się parę kilometrów dalej, po drugiej stronie góry. Stąd go nie widać.

Dusty wolno pokiwał głową i uśmiechnął się.

- To znaczy, że tylko ty stoisz między mną i łupem Villi - powiedział. - Doskonale. A teraz zabieraj stąd tłuste cielsko i razem z przyjaciółmi schowaj się w tych żlebach, z dala od moich oczu. Jeśli nie chcesz dostać kulka w plecy, ruszaj się zwawo.

Jupe wzruszył ramionami. Zrobił przygnębioną minę i ze zwieszoną głową, jak pokonany, poszedł w dół ścieżką.

Dusty obserwował go, dopóki chłopiec nie zniknął za skalnym załomem. Wtedy pochylił głowę i trzymając strzelbę w obu rękach, ruszył tunelem przed siebie.

Pete usłyszał kroki nadchodzącego. Czekał na niego w jaskini. Domyślił się, że Dusty wejdzie do niej z nisko opuszczoną głową, idealnie wystawiony na cios karate.

Chłopiec uniósł rękę. Jego dłoń ze sztywno wyprostowanymi palcami miała śmiertelnie moc rażenia. Jedno uderzenie w szyję i ranczer nieprzytomny padnie na ziemię.

Dusty pojawił się w jaskini. Pete szybko opuścił rękę. Jednakże któryś z osiołków zarżał cicho i ranczer za wcześnie uniósł głowę. Mocna dłoń dosięgła jego ramienia, nie karku. Ranczer potknął się i zrobił niepewny krok do tyłu, ale nie wypuścił strzelby.

Pete natychmiast znalazł się za nim. Ponownie uniósł rękę, gotów uderzyć jeszcze raz. Dusty udowodnił już jednak w starciu z Bobem i Bitem, że ma błyskawiczny refleks. Cofnął się i uniósł strzelbę, wymierzając ją prosto w Pete'a. Chłopiec opuścił ramię.

Pomyślał, że ma jedną przewagę nad uzbrojonym mężczyzną. Dusty wszedł do jaskini wprost z dworu, gdzie mocno świeciło słońce, natomiast oczy Pete'a zdążyły już przywyknąć do panujących w jaskini ciemności. Jeśli zdąży zareagować szybko, być może uda mu się zaskoczyć Dusty'ego, nim ten zrobi użytek z broni.

Chłopiec udał, że skręca w jedną stronę, po czym niespodziewanie obrócił się na palcach i zadał ranczerowi mocny cios nogą tuż poniżej klatki piersiowej, pozbawiając go tchu. Dusty, ciężko dysząc, na chwilę zgiął się wpół.

O to Pete'owi chodziło. Skoczył naprzód i łokciem uderzył ranczera w tył karku. Znokautowany Dusty padł na ziemię jak kłoda.

Leżał tam nieprzytomny jeszcze wówczas, gdy pozostali trzej chłopcy dołączyli do Pete'a. Brit znakomicie radził sobie z węzłami i wiązaniem liny. Już wkrótce Dusty był skrepowany jak młody byczek na rodeo. Czterej chłopcy przyglądali się bezradnemu

ranczerowi. Osiołki, które podczas walki ludzi stały spłoszone jeden przy drugim, ponownie zajęły się skubaniem owsa.

- Zróbmy sobie chwilę przerwy - zaproponował Bob po minucie milczenia.

Chłopcy wyszli na zewnątrz.

- Nie wszystko poszło zgodnie z planem. - Jupe uśmiechnął się. - Jednak szybki refleks Pete'a uratował sytuację.

Pete zaśmiał się głośno i przeszył dłonią powietrze.

- Te ręce to legalna broń.

- No jasne. A ja jestem Bruce Lee - zakpił Bob. - Co dalej robimy, Jupe?

- Najpierw przynieśmy tu strzelbę Dusty'ego - powiedział Brit. - Co dwie lufy, to nie jedna.

Pobiegli do kępy kaktusów, w którą Bob cisnął broń Dusty'ego. Pochylili się, przeszukując kamieniste podłoże.

Szukali i szukali. Obeszli każdy głaz i zajrzeli w każdą, najmniejszą nawet szczelinę. Odgarnęli wszystkie kłujące liście kaktusów.

Strzelba przepadła jak kamień w wodę.

- To sprawka Mercedes - stwierdził Bob. - Kręci się tu w pobliżu. Teraz zdobyła strzelbę naszego ranczera.

Jupiter skubał wargę.

- Mam! - zawołał po chwili.

- Znowu - jęknął Pete. - Kolejne zgadywanki?

- Moim zdaniem Mercedes nie ukrywa się nigdzie w pobliżu - ciągnął w zamyśleniu Jupiter. - Sądzę, że wróciła do bazy.

- Jakiej bazy? - spytał Pete.

- Zdjęła pakunki z osła, więc musi gdzieś obozować - uzasadnił swoje podejrzenie Jupe. - Z tego, co powiedział mi Alfred Hitchcock, wynika, że osły to wierne zwierzęta. Bardzo przywiązują się do ludzi. Zabiorę ze sobą Blondie, by dotrzymywała towarzystwa osłu Mercedes, a on zaprowadzi mnie do jej obozu.

- Ciebie? Tak ci zależy na laurach? - dopytywał się Bob. - Czemu nie pójdziemy wszyscy razem?

- Jeśli udamy się do obozu całą czwórką, Meksykanka zauważy nasze nadejście - wyjaśnił Jupe. - Sam będę mógł się kryć za osłami. Musicie przyznać, że sporo schudłem i trudniej mnie teraz wypatrzeć.

- Ciągle jeszcze nie jesteś tak chudy jak Ignatio - wtrącił Bob.

Pete i Brit wybuchnęli śmiechem. Jupiter był już myślami gdzie indziej.

Miał pewne przeczucie związane z Mercedes. Dość niesamowite, trzeba przyznać. Oparte jedynie na fakcie, iż używała szkieł kontaktowych, i na tym, co w blasku ogniska zauważył na jej rękę. To niewiele. Jako detektyw wiedział jednak, że warto czasem ufać przeczuciom. Być może, ale tylko być może, to, co zobaczył, kiedy zegarek Mercedes ześliznął się do jej przegubu, wcale nie było blizną. Mógł sprawdzić zasadność swoich podejrzeń jedynie wtedy, gdy ponownie zobaczy z bliska Meksykankę.

- Dobrze, rób, jak uważasz - zgodził się Pete. - Pamiętaj jednak, że ta kobieta posiada teraz strzelbę. Miej oczy szeroko otwarte.

Brit wyprowadził oba osiołki z jaskini.

- Dusty nadal leży związany - oznajmił. - Ręce i nogi ma dokładnie skrepowane, za to usta mu się nie zamykają. Powiedział mi dokładnie, co z nami zrobi, kiedy się już wyswobodzi.

Jupe klepnął osła Mercedes w zadek i zwierzę dość ochoczo ruszyło naprzód. Blondie szła obok niego. Jupe przemykał się między osłami a skalną ścianą, pochylając głowę, by nikt stojący wyżej nie mógł go zobaczyć.

Osiółki nie wspinały się, lecz podążały ścieżką, przecinającą zbocze góry. Jupe od czasu do czasu unosił głowę i widział wejścia do innych jaskiń. Nie prowadziły do nich jednak żadne dróżki.

Osiół Mercedes szedł przed siebie, aż nagle zatrzymał się bez uprzedzenia.

Blondie stanęła obok niego. Jupe przywarł do ziemi. Sto metrów powyżej ścieżki zobaczył szczelinę w skalnej płaszczyźnie. Wykorzystując każdy załomek, za którym mógł się skryć, zaczął powoli wspinać się w stronę pęknięcia.

Osiół Mercedes nie ruszył w jego ślady, ale też przestał iść naprzód. Blondie znalazła niewielką kępkę trawy i zwierzęta zaczęły paść się w spokoju.

Może jestem na złej drodze, pomyślał Jupe. Może szczelina w skalnej ścianie wcale nie jest wejściem do obozowiska Mercedes. Tak czy inaczej, podejść jeszcze bliżej, postanowił.

W pewnej chwili wydało mu się, że jakaś zimna dłoń chwyta go za kark. Poczuł, że włosy stają mu dęba na głowie.

Nie dalej niż dwa metry przed sobą zobaczył sterczący z ziemi chropowaty drewniany krzyż. Wpatrując się w niego uważnie, Jupe zobaczył wyryty napis: "Ignatio Allende".

A więc znalazł wejście do właściwej jaskini. Jaskini, w której Pancho Villa ukrył srebrne pesos.

Czyżby Mercedes też na nią trafiła? Czy tu urządziła sobie obozowisko? Czy w nim teraz przebywa?

Jeśli tak, do tej pory prawdopodobnie zdążyła już zauważyć oba osiołki. Na pewno zechce sprawdzić, co one tu porabiają.

Jupe położył się płasko na skale i czekał.

Nie trwało to dłużej niż minutę. Zobaczył znajomą postać Meksykanki, odzianej w luźną wełnianą spódnicę, z narzuconym na głowę czerwonym szalem, spod którego

wystawały długie czarne warkoczyki. Wyszła z jaskini i spojrzała w dół na dwa osiołki. Jupe zauważył, że odbezpieczyła kurek trzymanej w dłoniach strzelby.

No dalej, ponaglał sam siebie chłopiec. Masz okazję dowiedzieć się prawdy o Mercedes.

Schylił głowę na wypadek, gdyby się mylił. Gdyby Meksykanka na jego wołanie odpowiedziała strzałem.

- Mamo! - krzyknął Jupe. - To ja, Brit!

ROZDZIAŁ 14

Z DESZCZU POD RYNNĘ

Przez kilka chwil, które Jupiterowi wydawały się wiecznością, Mercedes stała nieruchomo. Potem rzuciła strzelbę na ziemię i pobiegła z boczem w dół.

- Gdzie jesteś, synku? - krzyczała. - Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

Przestała już udawać, że nie mówi po angielsku.

Jupiter podniósł się z ziemi.

- Brit czuje się dobrze - odparł. - Przepraszam, że panią oszukałem, ale syn potrzebuje pani pomocy. My zresztą też.

Mercedes przystanąła kilka metrów przed chłopcem. Popatrzyła na Jupe'a, na jej twarzy zagościł uśmiech.

- Chodź szybko do jaskini i opowiedz mi, co się stało.

Osiolki ciągle się pasły. Były bardzo zadowolone. Jupe ruszył za Mercedes w stronę szczeliny w skale.

- Gdzie jest Dusty? - Podniosła z ziemi strzelbę i z uwagą popatrzyła na okoliczne szczyty.

- Proszę się nie obawiać. - Jupe opowiedział, co się zdarzyło w kryjówce Brita. - Pani syn dokładnie go związał.

Uspokojona pokiwała głową i zabezpieczyła zamek strzelby.

- Śmiertelnie się bałam o Brita i Toma, mojego męża - powiedziała. - Wczoraj odkryłam tę jaskinię i zobaczyłam pozostawione w niej rzeczy. Nie zauważyłam jednak żadnych świeżych śladów końskich kopyt, więc nie wiedziałam, dokąd poszli moi panowie.

Jupe wyjaśnił, że ojciec Brita pojechał kupić dynamit, którym zamierzą wysadzić wejście do jaskini, kryjącej skarby Pancho Villi, i za kilka dni wróci.

- Jak udało się pani znaleźć strzelbę Dusty'ego? - zapytał.

- Kiedy spałam, mój osioł gdzieś się zabłąkał nocą, więc rano ruszyłam na poszukiwania - powiedziała Mercedes. - Nie znalazłam zwierzęcia, za to zobaczyłam tę strzelbę. Leżała pod kaktusem. Były na niej wyryte inicjały Dusty'ego. Jego samego nie było nigdzie widać i zaczęłam się obawiać, że może to pułapka. Pomyślałam, że ranczer czyha gdzieś w ukryciu z drugą strzelbą lub tym nożem, który zwykle nosi za cholewą. Szybko wróciłam więc tutaj. Stąd przynajmniej widziałabym, jak nadchodzi.

Jupe uśmiechnął się. Kiedy Mercedes znalazła strzelbę, Dusty leżał już obezwładniony, a Brit kępował go za pomocą swoich znakomitych węzłów. Mama Brita przysłała o kilka minut za późno, by zobaczyć wszystkie emocjonujące wydarzenia. W dodatku z miejsca, w które Bob rzucił strzelbę, nie widać było wejścia do jaskini.

- Jak się domyśliłeś, że jestem matką Brita? - spytała Mercedes. - Nigdy przedtem nie słyszałeś, żebym mówiła innym językiem niż hiszpański, a w tym przebraniu nie wyglądam jak Amerykanka.

Zsunęła z głowy szal, zdjęła czarną perukę z warkoczykami i wcisnęła ją do obszernej kieszeni w spodnicy, po czym przeczesła palcami swoje jasne włosy.

- Po prostu miałem przecucie. Jak się okazało, szczęśliwe - wyjaśnił Jupe. - Jednakże kilka faktów je wzmocniło. Kiedy tamtej nocy rozmawialiśmy przy ognisku, pani zegarek ześliznął się z ręki aż do przegubu i zauważyłem jasny pasek skóry, odcinający się wyraźnie od reszty ciała.

Jupiter wyciągnął przed siebie lewą rękę. Podczas wyprawy opalił się na ciemny brąz. Rozpiął pasek zegarka, pokazując jasny fragment skóry, której nie dosięgły promienie słońca.

- Większość Meksykanów ma ciemną karnację - ciągnął. - Nawet w miejscach, które nie są wystawiane na działanie słońca, ich skóra nigdy nie jest całkiem biała, jak u bladoliczych Anglosasów.

Mercedes z uznaniem pokiwała głową.

- Jesteś bystry, całkiem jak mój Brit.

- Nie tylko ja. Bob zauważył z kolei, że używa pani szkieł kontaktowych. Aktorzy korzystają z nich, kiedy chcą zmienić kolor oczu do jakiejś roli. Miałem więc dwa sygnały, które wzmacniały moje podejrzenia: że być może brąz nie jest naturalnym kolorem pani skóry i że wcale nie ma pani ciemnych oczu.

- Rzeczywiście nie mam. - Kobieta pochyliła głowę, wyjęła szkła kontaktowe i umieściła je w specjalnym pojemniku, który włożyła do przepastnej kieszeni spódnicy. - Moje oczy są niebieskie, tak jak oczy Brita.

- Poza tym słyszałem raz, jak mówi pani po angielsku. Zatelefonowała pani do mnie na ranczo i poprosiła o spotkanie po drugiej stronie jeziora - przypomniał Jupe. - Chociaż muszę przyznać, że nie rozpoznałem pani głosu, kiedy posługiwała się pani językiem hiszpańskim.

Mama Brita ścisnęła dłoń Jupitera.

- Bardzo mi przykro z powodu tego incydentu. Ascención wytknął mi głupi postępek. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, jak niebezpieczne jest to jezioro. Nie chciałam pozbawić cię życia. Miałam jedynie nadzieję, że wystraszę cię na tyle...

- Bym nie odważył się wyruszyć w góry z Blondie, która mogłaby mnie doprowadzić do jaskini.

Mercedes pokiwała głową.

- Byłam przerażona. Wiedziałam, że Dusty zdolny jest zabić Toma i Brita, jeśli ich odnajdzie. Gotów byłby na wszystko, byle położyć łapy na srebrnych pesos. - Mama Brita zamilkła na chwilę. - Tak bardzo się bałam, że zrobiłam jeszcze kilka innych głupich rzeczy. Najpierw przekupiłam młodego Meksykanina, by nie wpuścił was do autobusu. Potem próbowałam pod osłoną nocy ukraść Blondie. Powinnam była wiedzieć, że nie pozwoli mi się do siebie zbliżyć.

Mercedes sięgnęła za skalny występ i wyciągnęła stamtąd walkie-talkie, do którego umocowany był skórzany pasek. Przewiesiła aparat przez ramię i podniosła z ziemi strzelbę.

- Zaprowadź mnie teraz do jaskini Brita - poprosiła. - Umieram z chęci, by go zobaczyć.

- Czy porozumiewała się pani ostatnio z Ascenciónem? - spytał Jupiter, kiedy prowadzili osiołki z powrotem w stronę kryjówki Brita.

- I o tym też wiesz?

- No cóż, pani Mercedes... - Jupe uśmiechnął się. - Przepraszam, nie znam pani prawdziwego imienia.

- Nazywam się Grace. Po hiszpańsku brzmi to merced, czyli łaska. - Grace Douglas. Jeśli chcesz, możesz nadal nazywać mnie Mercedes.

- Zgoda. Wiedziałem, że Ascención ma walkie-talkie, bo sam mu je naprawiałem. Tej nocy, gdy przyszła pani do nas, by porozmawiać, Bob zauważył pani aparat w jednym z pakunków przytroczonych do osła.

- Dziś rano kilkakrotnie próbowałam przywołać Ascencióna, ale nikt się nie zgłaszał. Rozmawiałam z nim którejs nocy podczas wyprawy w te góry i wiem, że dzielił go ode mnie zaledwie dzień marszu. Teraz więc powinien już tu być, chyba że... - Zawahała się, nagle zaniepokojona. - Chyba że Dusty odnalazł go i zabił.

- Czy Dusty wiedział, że Ascención depcze mu po piętach?

- Chyba się domyślił. Zaczął udawać, że jego koń okulał, by wracając po własnych śladach, rozglądać się za Ascenciónem. Dusty nie zwróciłby uwagi na jakąś Meksykankę, jadącą na osle, więc nawet gdyby mnie zobaczył, nic by mi nie groziło. Ascencióna zabiłby bez namysłu. - Mercedes zawahała się. - Być może spotkał go w górach i właśnie to zrobił.

- Pani Mercedes... - Jupe dotknął jej ramienia, próbując uspokoić roztrzęsioną kobietę. - Na pani miejscu nie martwiłbym się zanadto o Ascencióna. Wiem, że Dusty jest przebiegły. Jednakże Ascención przewyższa go o głowę.

- Tak, z pewnością masz rację - powiedziała z nadzieją Mercedes.

Jupiter spytał matkę Brita, jak to się stało, że zaczęła podejrzewać, iż Dusty zamierza posłużyć się Jupiterem, by odnaleźć jaskinię Villi.

Mercedes wyjaśniła, że przez cały czas utrzymywała bliski kontakt z synem. Wysyłała mu do wioski listy na kasetach i otrzymywała w Los Angeles nagrane odpowiedzi. Znała więc całą historię o ślepcie Blondie i długiej wędrowce w poszukiwaniu weterynarza, która zakończyła się na ranchu Dusty'ego. Brit uprzedził również matkę, że Dusty może wykorzystać małą oślicę, by odnalazła w górach jego i ojca.

Potem nadszedł list od Ascencióna. Meksykanin informował, że Dusty wybiera się do Los Angeles. Załączył kopię krzyżówki, którą ranczer wydrukował w Lareto. Ascención nie rozumiał, czemu miała służyć krzyżówka, ale wiedział, że Dusty coś knuje.

- Ja też nie od razu zrozumiałam, o co chodzi - ciągnęła Mercedes - ale wiedziałam przynajmniej, że żona Dagwooda nazywała się Blondie. Zaczęłam więc obserwować magazyn, na którego adres wysyłane były rozwiązania krzyżówki. Wkrótce zjawił się Dusty, by odebrać przesyłki. Następnego dnia próbowałam się włamać do magazynu, ale uruchomił się alarm i musiałam uciekać.

Po tym incydencie matka Brita śledziła ranczera i odkryła, gdzie się zatrzymał. Pewnego dnia poszła za nim do składowiska złomu Jonesów. Przejeżdżając wolno obok posesji, zauważyła, jak Dusty rozmawia na werandzie z jakimś chłopcem. Ukryła samochód i przekradła się w stronę domu.

- Usłyszałam waszą rozmowę. Od razu uderzyło mnie brzmienie twojego głosu. Wydawało mi się, że słyszę mojego syna, Brita!

Zaczęła łączyć ze sobą fakty. Przebrana za Meksykankę, udała się w ślad za Jupe'em i dwójką jego przyjaciół do Lareto.

- Zauważyłam, że Dusty zabrał was stamtąd swoim dżipem. Wynajęłam pokój w wiosce położonej po drugiej stronie jeziora i ponownie nawiązałam kontakt z Ascenciónem. Szpiegowałam was w lesie. A kiedy Blondie od razu się z tobą zaprzyjaźniła, nietrudno było przewidzieć dalszy rozwój wypadków.

Przez chwilę maszerowali w milczeniu.

- Czy mógłbym zadać pani kilka pytań? - spytał uprzejmie Jupiter.

- Pytaj śmiało.

- Skąd pani zna Ascencióna? Co zaszło między panią i Dustym, że aż tak...

- Nienawidzimy się?

- Właśnie.

- Musielibyśmy znacznie cofnąć się w czasie - odparła Mercedes. - Moja matka zmarła, kiedy byłam dzieckiem. Ojciec był inżynierem górnictwa i pracował dla pewnej meksykańskiej spółki. Wychowałam się w Meksyku. Ascención opiekował się mną, kiedy mój ojciec wyjeżdżał służbowo. Wtedy ten Meksykanin był właścicielem całego rancza. Hodował bydło i konie. Niezłe sobie radził, dopóki na horyzoncie nie pojawił się Dusty...

- I nie przejął od niego rancza. - Jupe przypomniawszy sobie akty prawne, które znalazł w biurze Dusty'ego.

- Tak. Jak większość ranczerów, Ascención winien był bankowi pieniądze. Dusty wykupił jego weksle. Zanim Ascención zdołał sprzedać wystarczającą liczbę sztuk bydła, by uregulować długi, Dustin Rice zablokował weksle. Udałam się do sądu, by pomóc przyjacielowi, jednakże Dusty wiedział, kogo przekupić, by nic nie udało się załatwić. Ostatecznie Ascención stracił swoje ranczo na rzecz Dusty'ego.

Jupe spojrzawszy w dolinę i na leżące po drugiej stronie pasmo górskie. Miał nadzieję, że Mercedes się myli i Ascención wkrótce się pokaże.

Nigdzie jednak nie było ani śladu Meksykanina.

Potem Jupe poczuł nagły podmuch gorącego powietrza. Całe otoczenie zmieniło się w okamgnieniu. Robiło się coraz cieplej. Niebo ciemniało z chwili na chwilę.

Chłopiec uniósł głowę i zobaczył wielką szarą chmurę. Znowu poczuł drgania ziemi. Z miejsca, w którym stał, widział wierzchołek góry. Strzelał z niego strumień czarnego dymu, dużo grubszy i cięższy niż białe pióropusze, które wcześniej zaobserwował.

Nagle wszystko zrozumiał. Miał ochotę puknąć się w czoło z powodu własnej głupoty. Czemu wcześniej nie pojął prawdy? Pete przynajmniej zastanawiał się, dlaczego biały dym nie unosił się w powietrzu. Nie był to bowiem dym, lecz para.

- Wulkan - powiedział Jupe zdławionym głosem.

Mercedes schwyciła go za ramię i zmusiła, by się zatrzymał. Oslaniając dłonią oczy, również patrzyła na górę.

- Tak - szepnęła. - Nie wiedziałam, że w Sierra Madre są czynne wulkany. Za chwilę możemy się spodziewać erupcji!

ROZDZIAŁ 15

WSZYSTKO SIĘ WYJAŚNIA

- Naprawdę przepadam za rockiem - wyznał Britowi Bob. - Jednak niektórzy gwiazdorzy potrafią nieźle dać się we znaki.

Trzej chłopcy - Bob, Brit i Pete - siedzieli kręgiem wewnątrz jaskini, z niepokojem czekając na Jupe'a.

Panowało między nimi ogromne napięcie, lecz mimo to Bob i Pete gawędzili jakby nigdy nic. Zastanawiali się tylko, na jak długo udało im się unieszkodliwić zdesperowanego ranczera. Mężczyzna przez cały czas szarpał więzy i wrzeszczał.

- Ja też interesuję się muzyką rockową - powiedział Brit. - Aż mi się wierzyć nie chce, że naprawdę znasz tylu popularnych idoli.

- Ciągłe wpadają do naszego biura - odparł Bob.

- Muzyka meksykańska również jest niesamowita - stwierdził Brit. - Czy twój szef współpracuje z jakimiś meksykańskimi piosenkarzami?

Bob pokręcił głową.

- Muzyka latynoska to nie nasza branża.

Pete, który miał po dziurki w nosie opowieści Boba, postanowił napisać długi list do Kelly Madigan.

- *Droga Kelly - zaczął. - Góry naprawdę są dzikie. Teraz siedzę w jaskini, a obok mnie leży skrzepowany linami facet. Nie jesteśmy zwolennikami bata i łańcuchów, ale...*

Pete odrzucił blok listowy i spojrzał na zegarek.

- Minęły dwie godziny, odkąd Jupe stąd wyszedł - zauważył. Przeczłgał się do wylotu tunelu, by zobaczyć, czy przyjaciel nie nadchodzi.

Dusty przestał się już wiercić i szarpać. Klęczał teraz na ziemi, jakby uznał, że w jego sytuacji jest to o wiele wygodniejsza pozycja niż leżąca.

- Brit, przynieś mi trochę wody - zaskrzeczał. - Tak mi zaschło w gardle, że nie mogę przełknąć śliny.

Brit i Bob wymienili pytające spojrzenia. Bob pokiwał głową.

- Dobrze. - Brit wziął gliniany dzban i podał go ranczerowi.

W tym momencie nastąpiła seria błyskawicznych wydarzeń. Bob nie wiedział, co się dokładnie stało, gdyż nie było tego widać z miejsca, w którym siedział. Brit podsunął gliniane naczynie do ust Dusty'ego, a już w następnej chwili leżał na podłodze między skorupami rozbitego dzbana. Ranczer przyciskał chłopcu do szyi ostrze noża.

Niedawny więzień ręce i nogi miał wolne. Z przegubów zwisały mu kawałki pociętej liny.

- Idioci - zaśmiał się dziko. - Nie wpadło wam do głowy, żeby mnie przeszukać. Zawsze noszę nóż za cholewą.

Przeciagnał ostrzem noża po gardle Brita, grożąc, że je poderżnie, jeśli chłopiec spróbuje się ruszyć.

- Przynieś mi strzelbę Brita, Bob - zawołał Dusty drwiącym głosem. - Pospiesz się.

Bob wiedział, że ranczer nie zawaha się przed użyciem noża. Strzelba leżała pod ścianą. Podniósł ją i podszedł do Dusty'ego.

- Rzuć ją tu, gdzie będę mógł jej dosięgnąć - rozkazał ranczer.

Powiedział to takim tonem, że Bobowi ciarki przeszły po grzbiecie. Ten mężczyzna naprawdę nie żartował; gotów był spełnić swoją groźbę i podciąć Britowi gardło. Bob nie miał innego wyjścia: musiał rzucić strzelbę.

Dusty podniósł ją i odciągnął kurek. Przez cały czas trzymał nóż przytknięty do żyły pulsującej w krtani Brita.

- A teraz stań twarzą do ściany, waźniaku. Ręce połóż na głowę.

- Ani śladu Jupe'a. Coś naprawdę dziwnego...

Pete wrócił z tunelu. Przez chwilę musiał przyzwyczajać wzrok do mroku panującego w jaskini. Potem zobaczył, że Bob stoi pod ścianą, z rękami zaciśniętymi nad głową.

- Co się dzie... - zaczął. W tym momencie zauważył Dusty'ego. Oszałały ranczer siedział okrakiem na leżącym Bricie. W jednej ręce trzymał nóż, w drugiej strzelbę. Teraz celował w Pete'a. Palec położył na spuście.

- Przechytrzył nas - wyjaśnił Bob. - W bucie miał nóż.

- Ej, ty. Szoruj pod ścianę! - wrzasnął Dusty na Pete'a.

Przez pełną napięcia chwilę chłopiec rozważał, czy nie rzucić się na ranczera. Strzelając z jednej ręki, Dusty mógł chybić celu, gdyż w jaskini panował półmrok. Jednakże Pete nie miał żadnej szansy, by dosięgnąć go, zanim tamten przeciągnie nożem po gardle Brita. Drugi Detektyw odwrócił się więc do ściany i stanął obok Boba.

- Co teraz zrobimy? - wyszeptał Pete.

- Poczekamy na powrót Jupe'a - odparł równie cicho Bob.

- Ręce nad głowę i zamknij się! - krzyknął Dusty do Pete'a. - Bo obu właduję kulkę w plecy. - Zaśmiał się zjadliwie.

Pete zrobił, co mu kazano. Ranczer wstał. Chłopiec usłyszał skrzypienie jego butów.

Dusty wsunął nóż za pas, strzelbę ścisnął w dłoniach.

- Teraz twoja kolej. - Spojrzał na leżącego Brita i kopnął go w zebra. - Wstawaj i rób, co ci każę, albo stracisz swoich nowych przyjaciół.

Brit podniósł się z ziemi. W przeciwieństwie do Pete'a i Boba nie znał ciosów karate. Nie miał żadnych szans z uzbrojonym mężczyzną.

- Idź tam.

Brit podszedł do ściany, pod którą stali już jego koledzy.

- Teraz posłuchaj uważnie. Nie zamierzam cię zastrzelić - przynajmniej na razie.

Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć, albo rozwalę twoich kumpli. *Comprende, amigo?*

Brit w milczeniu pokiwał głową.

- Gdzie jest twój ojciec?

Brit zawahał się. Zauważył, że Dusty zaciska palec na spuście.

- Udał się do wioski po drugiej stronie góry - powiedział.

- Kiedy wraca?

W pierwszej chwili Brit zamierzał skłamać. Zdał sobie jednak sprawę, że jeśli Dusty odkryje kłamstwo, któryś z chłopców zapłaci za to życiem.

- Nie wcześniej niż za kilka dni - odparł więc.

- Czy znaleźliście jaskinię Pancho Villi?

- Tak.

- Skąd wiecie, że to ta właściwa?

- Pod głazami natknęliśmy się na szkielet jednego z żołnierzy Villi.

- No, przynajmniej zacząłeś śpiewać, jak należy. Zwiąż teraz liną tych dwóch, tak samo jak przedtem związałeś mnie.

Brit udał się w odległy kąt jaskini i wrócił ze zwojem grubego sznura.

- Najpierw ty, Pete - zarządził Dusty. - Uklęknij. Ręce do tyłu.

Pete początkowo próbował się opierać. Dusty podszedł do niego i przyłożył mu do pleców lufę strzelby. Chłopiec poczuł na skórze dotyk zimnego metalu. Z trudem przełknął ślinę.

- Ruszaj się! - warknął Dusty.

Przeklinając pod nosem, Pete uklęknął na ziemi. Ręce złożył za plecami.

Brit najpierw usiłował tylko udawać, że wiąże kolegę, ale nic z tego nie wyszło. Dusty stał zbyt blisko i uważnie sprawdzał każdy węzeł na linie, którą Brit pętał przeguby i kostki Pete'a, a potem Boba.

- Teraz odpowiedź na kilka pytań - zażądał Dusty.

- Teraz jesteśmy zablokowani - zażartował Bob.

Pete i Brit niechcący parsknęli śmiechem.

- Skończcie z błazenadą. - Dusty mocno dźgnął Boba lufą. Oczy chłopca zalśniły ze złości, ale nic nie powiedział.

- Dokąd poszedł wasz koleś? No, ten gruby.

- Sami chcielibyśmy wiedzieć - odparł Pete. - Może skoczył po pizzę?

Brit zauważył, że twarz Dusty'ego pociemniała ze złości. Któryś z chłopców zaraz oberwie, jeśli ranczer natychmiast nie usłyszy jakiejś konkretnej odpowiedzi.

- Poszedł szukać Mercedes.

- Kto to taki?

- Nie wiemy - odparł zgodnie z prawdą Brit. - To jakaś Meksykanka. - Opisał ją ranczerowi tak, jak wcześniej opisał mu ją Bob. - Jupe powiedział, że od kilku dni ich śledziła. Dziś rano zauważyliśmy przed jaskinią jej osła. Jupe wziął Blondie, mając nadzieję, że zwierzęta zaprowadzą go do ukrytej kryjówki tej kobiety.

- Czy ona ma strzelbę?

Brit szybko uznał, że nie musi przyznawać, iż jego zdaniem kobieta jest uzbrojona.

- O ile mi wiadomo, nie.

- No dobrze. Będę jej wypatrywał. Czarne włosy, cienkie warkoczyki. - Dusty przeniósł lufę z pleców Boba i wycelował ją w Brita. - Zaprowadzisz mnie do jaskini Villi. Ruszaj się. Pamiętaj, że przez cały czas będę tuż za tobą.

Pete usłyszał szuranie. Brit wychodził tunelem na zewnątrz. Tuż za nim szedł Dusty.

Kiedy umilkł odgłos kroków, dwaj detektywi zaczęli się szamotać z krępującymi ich więzami.

- Dasz radę oswobodzić ręce? - spytał Pete.

- Bez pomocy magika ani rusz - odparł Bob. - A ty?

- Nie ma siły. A gdzie, u licha, podziewa się Jupe? - zdenerwował się Pete.

- Na pewno tu wróci - uspokoił przyjaciela Bob. - Wiesz, że ten chłopak zawsze ma w zanadru jakiś plan działania. Zauważy Dusty'ego, zanim on zbliży się na tyle, by mógł strzelać. Poza tym Jupe'owi towarzyszy Blondie. Oślica biega o wiele szybciej niż ranczer.

- Dusty nie jest naszym jedynym zmartwieniem - powiedział Pete, znowu mocując się z węzłami. - Czujesz to?

Bob wciągnął nosem powietrze.

- Zgniłe jaja?

- Coś dziwnego dzieje się na zewnątrz - zaniepokoił się Pete.

- Kiedy wyszedłem przed jaskinię, zdałem sobie sprawę, że nie mógłbym zobaczyć Jupe'a. Niczego nie mógłbym zobaczyć. Jest czarno jak o północy. W powietrzu unosi się smród... tak, masz rację, zgniłych jaj. Wokół rozciąga się olbrzymia chmura dymu.

Bob szybko przeanalizował usłyszane informacje.

- Już wcześniej zauważyliśmy dym unoszący się z tej góry, pamiętasz? To nie jaja
-krzyknął - tylko siarka! O rany! Siedzimy pod czynnym wulkanem!

Pete wytrzeszczył oczy ze strachu.

- Nas chronią ściany jaskini. Jupe jest na otwartej przestrzeni!

ROZDZIAŁ 16

RZEKI ŚMIERCI

- Proszę się schylić - szepnął Jupiter. - Szybko.

Mercedes wpatrywała się w czarny dym, który wydostawał się z wylotu wulkanu i pokrywał góry jak mgłą. Jupe chwycił matkę Brita za ramię i wciągnął ją za duży głaz.

- O co chodzi? - spytała.

- Dusty - szepnął. - Proszę mówić ciszej.

Z nieba sypał się ziarnisty popiół, ale wiatr rozwiewał czarny dym. W powietrzu unosił się smród chemikaliów. Jupe ostrożnie uniósł głowę i obserwował nadchodzącego ranczera. Znajdował się teraz w odległości mniejszej niż kilometr od miejsca, w którym stali Jupe i matka Brita. Cały czas zbliżał się w ich stronę. Nie był sam.

Kilka kroków przed Dustym szedł Brit. Chłopak trzymał ręce splecione na karku. Ranczer celował strzelbą prosto w jego plecy.

- Brit. - Mercedes gwałtownie zaczerpnęła tchu. Jupe musiał chwycić ją za ramię, by nie rzuciła się na pomoc synowi.

- To nierozsądne - ostrzegł ją łagodnym głosem. - Jeśli Dusty panią zastrzeli, Britowi nic z tego nie przyjdzie.

Ranczer w każdej chwili może zauważyć dwa pasące się osiołki, pomyślał Jupe. Zobaczyłby je wcześniej, gdyby tak baczenie nie wpatrywał się w Brita.

Mercedes powoli przysuwała do siebie strzelbę.

- Postaram się trafić Dusty'ego w rękę - szepnęła.

Przyłożyła kolbę do ramienia, opuściła lufę, opierając ją o krawędź głazu i ustawiła tak, że ranczer znalazł się na linii strzału.

Uważnie namierzyła cel i pociągnęła za spust.

Przez chwilę Jupe oczekiwał na wystrzał. Mercedes raz po raz ciągnęła za spust, ale nawet nie drgnął.

- Zapomniała pani odbezpieczyć zamek - szepnął Jupe.

Mercedes pospieszenie naprawiła pomyłkę i znowu wycelowała, ale było już za późno. Dusty zdążył zauważyć osiołki. Rzucił się do przodu i przyciągnął Brita do siebie, osłaniając się jego ciałem jak tarczą.

Mercedes opuściła strzelbę. Zaklęła łagodnie po hiszpańsku. Dusty wyciągnął zza pasa nóż i przycisnął go do pleców Brita. Popychając chłopca przed sobą, znowu ruszył naprzód.

Jupe zdjął z ramienia Mercedes walkie-talkie i wcisnął przycisk nadawania.

- Ascención - zawołał, przytykając usta do mikrofonu. Ascención. Czy pan mnie słyszy? - dopytywał się po hiszpańsku.

- Ascención. Odbiór.

Wcisnął przycisk odbioru. Cisza. Po minucie Jupe ponowił próbę skontaktowania się z Meksykaninem. Dusty'ego dzieliło już od nich mniej niż sto metrów. Nadal pewnym krokiem posuwał się do przodu, co i rusz trącąc nożem Brita.

Jupe odłożył walkie-talkie i dotknął dłoni Mercedes.

- Proszę nałożyć perukę.

Matka Brita wydobyła perukę z kieszeni spódnicy i naciągnęła ją na głowę.

Dusty zatrzymał się w odległości dziesięciu metrów od pani Douglas i Jupitera.

- Wychodź, Mercedes! - zawołał po hiszpańsku. - Chcę cię widzieć.

Matka Brita nie poruszyła się.

- Nie bój się - ciągnął Dusty, nadal po hiszpańsku. - Wiem, że tam jesteś. Mój przyjaciel powiedział mi o tobie wszystko. Szłaś za nami aż tutaj. Założę się, że masz moją strzelbę. W porządku. Może się dogadamy.

Mercedes wstała, trzymając w obu rękach strzelbę.

Jupe pozostał ukryty za głazem. Ranczer w jakiś sposób zdołał obezwładnić Pete'a i Boba, pomyślał. Pewnie tym nożem, którym teraz dotykał pleców Brita. Dopóki jednak Dusty nie ma pojęcia, że Jupiter jest tutaj, dopóty chłopiec ma pewną przewagę. Może działać z zaskoczenia i dzięki temu, niewykluczone, że zdoła sobie z nim poradzić. Mercedes zbliżyła palec do spustu.

- Ja też wiem, kim jesteś - powiedziała po hiszpańsku. - Senior Rice. Chcesz zdobyć srebro Pancho Villi.

- Zgadza się, senora - przyznał Dusty. - Podobnie jak ty.

Mercedes pokiwała głową.

- Ale ja wiem, gdzie ono jest, a ty nie.

- Oczywiście, że wiem. - Dusty przysunął się bliżej. - Ten młody Amerykanin i jego ojciec znaleźli je, a teraz chłopak przyprowadził mnie tutaj.

- Jeśli ten mały myśli, że cokolwiek wie, to jest w błędzie - powiedziała Mercedes. - Wie tylko, gdzie srebro było. Gdzie wczoraj je znalazłam. Przeniosłam je jednak na osłe do innej kryjówki. Odłóż nóż. Wtedy możemy próbować się dogadać.

- No dobrze. - Dusty wsunął nóż za pasek. - Teraz nasze szanse są równe. Oboje mamy strzelby. Jeśli jednak chcesz stąd przewieźć srebro, moja pomoc będzie ci niezbędna. - Spojrzał w stronę wierzchołka góry. - Za chwilę to wybuchnie.

Ranczer nieustannie szedł do przodu, przez cały czas osłaniając się Bitem.

- Stój! - krzyknęła Mercedes po hiszpańsku, jednakże zbyt późno zrozumiała grożące niebezpieczeństwo.

Dusty wpatrywał się w nią i miotał przekleństwa.

- Ty... - wyrzucił z siebie po angielsku. - Czarne warkoczyki na chwilę mnie zmyliły, ale wszędzie poznam te niebieskie oczy, Grace.

Mercedes zapomniała włożyć szkła kontaktowe. Potem zdarzenia potoczyły się tak szybko, jakby wszystko stało się w jednej sekundzie.

Mercedes uniosła strzelbę. Dusty błyskawicznie odskoczył na bok i wycelował w kobietę.

Jupe usłyszał strzał.

Strzelba wypadła ranczerowi z rąk i wylądowała pięć metrów dalej, na skałach. Dusty ścisnął bolącą dłoń.

Jupe podbiegł do niego i wyrwał mu nóż zza pasa.

Usłyszeli tętent końskich kopyt. W polu widzenia pojawił się jeździec. Okazało się, że jest nim Ascención. W dłoni ścisnął kolta, którym mierzył w Dusty'ego.

- Następnym razem nie będę celował w strzelbę, tylko w twoje serce - powiedział po hiszpańsku.

Spojrzał na Mercedes. Kierowała broń na ranczera. Tym razem zamek był odbezpieczony.

- Nie strzelaj - powiedział ostrym tonem Ascención. - Jeśli go zabijesz, nie zdążymy go pochować, a to grzech zostawiać ciało na pastwę sępów.

- Wynoś się stąd! - wrzasnął na Dusty'ego. - Szukaj swojego srebra!

Ranczer nadal ścisnął bolącą dłoń. Zawahał się, twarz pociemniała mu z nienawiści.

- No już. Idź do jaskini Pancho Villi - rozkazał Ascención. - Żaden przewodnik nie jest ci potrzebny. Znajdziesz wiele ścieżek, które tam prowadzą.

Przez chwilę ranczer patrzył Meksykaninowi prosto w twarz. Jupe zauważył w jego oczach żądzę mordy. Dusty był jednak bezradny. Strzał Ascencióna roztrzaskał mu strzelbę, Jupiter zabrał jego nóż. Odwrócił się i ruszył do jaskini.

Mercedes i Brit wyściskali się nawzajem. Ascención zeskoczył z konia.

- Głupie walkie-talkie - powiedział. - Upuściłem je ubiegłej nocy na ziemię i przestało działać.

Jupe spojrział na górski wierzchołek. Unosił się z niego kolejny pióropusz czarnego dymu.

- Musimy iść po Pete'a i Boba - oświadczył. - Nadal są pewnie w jaskini Brita. Trzeba ich stamtąd wydostać.

Ascención zagwizdał przeciągle na dwóch palcach i po chwili przycwałował ku niemu drugi koń. Jupe rozpoznał klacz Dusty'ego.

- Znalazłem ją przywiązaną do skały - wyjaśnił. - Teraz zbierajmy się stąd szybko.

Jupe i Mercedes dosiedli osiołków, a Brit wskoczył na klacz ranczera. Blondie prowadziła wszystkich do kryjówki Brita.

Znajdowali się około stu metrów od jaskiń i, kiedy Jupe poczuł, że coś ukuło go w twarz, a potem w dłoń. Przysłaniając oczy, spojrział w górę.

Grad!

Z nieba spadały kulki wielkości łebków od zapalek. Jedna wylądowała chłopcu na barku. Trącił ją, ale nie mógł jej odczepić od podkoszulka. Zezując przez ramię zobaczył, że nie jest to kulka gradu, lecz niewielki szklany paciorek, gorący jak kropla wrzącej wody.

Jupe nie widział, co się dzieje na szczycie, ale był pewien, że zbliża się niebezpieczeństwo.

Popędzając Blondie, usłyszał, że jadące z tyłu konie puściły się galopem. Po chwili wszyscy jeźdźcy dotarli do wylotu w skale, który prowadził do kryjówki Brita, i zatrzymali się.

Ascención wyciągnął spod siodła zwinięty koc i zaczął kroić go nożem na pasy.

- Idź po swoich przyjaciół! - krzyknął do Jupe'a. Jupiter z pochyloną głową wszedł do tunelu. Pete i Bob leżeli zwinięci na podłodze w jaskini, plecami do siebie. Pete'owi udało się do tej pory rozwiązać jeden z węzłów wokół kostki Boba. Teraz zajmował się pętami na jego przegubach. Jupe szybko poprzecinał liny nożem Dusty'ego.

- Myślałem, że poszedłeś po pizzę - powiedział Pete, rozprostowując zeszywniałe ręce i nogi. - Gdzie ją masz?

Bob także się przeciągnął. Popatrzył na głowę Jupe'a.

- Czy te szklane paciorki we włosach to najnowszy krzyk mody? - spytał.

Jupe przesunął dłonią po głowie, próbując usunąć poprzyczepiane kuleczki. Zdążyły już ostygnąć, ale i tak nie zdołał wyczesać ich palcami.

- Na zewnątrz pada grad gorących szklanych kulek - wyjaśnił. - Chodźcie, trzeba się stąd ruszać.

Trzej przyjaciele pochylając się przebiegli przez tunel. Deszcz szklanego gradu na moment ustał. Ascención wręczył każdemu z chłopców pas wykrojony z koca.

- Owiążcie sobie głowy - polecił. - Chrońcie także dłonie i ramiona.

Meksykanin i Brit zdążyli się już zabezpieczyć. Mercedes nakryła głowę i ramiona szalem.

- Uciekamy! - zawołał Ascención po hiszpańsku.

Nawet Pete zrozumiał, co znaczy słowo *vamos*. Szybko usiadł na klaczy za Bitem, a Bob wskoczył na konia Meksykanina i objął mężczyznę od tyłu w pasie.

Tym razem prowadził Ascención. Ponaglając konia, zjeżdżał krętą ścieżką, kierując się ku dolinie. Kiedy wszyscy dotarli do żlebów przecinających skały, ześliznęli się nimi najszybciej, jak tylko mogli. Za sobą słyszeli teraz głucho dudnienia. Brzmiały jak odległe odgłosy grzmotów. Unoszący się w powietrzu zapach siarki był tak intensywny, że z trudem mogli oddychać.

Nagle stało się. Zdążyli oddalić się nie więcej niż o kilometr od jaskini, kiedy nastąpiła erupcja wulkanu.

Z wierzchołka góry wystrzelił potężny gejzer gorącej czerwonej lawy, która po chwili zaczęła opadać. Kolejne czerwone fontanny strzelały z krateru jak fajerwerki. Rozlewały się po zboczach, pokrywając każdy ich skrawek tonami roztopionych kamieni. Strumienie lawy spotykały się i łączyły, tworząc płonące rzeki. Przelewały się ponad stromymi ścianami i spadały do leżących poniżej żlebów.

Na uciekinierów zaczęły się sypać gorące popioły, którym towarzyszył następny grad rozgrzanych szklanych kulek. Nie osłonięte zwierzęta wpadły w panikę. Koń Ascencióna uniósł się nagle na tylnych nogach. Zaczął podskakiwać i wierzgać tak, że nawet Meksykanin z trudem nad nim panował. Bob musiał mocno objąć mężczyznę w pasie, by nie spaść na ziemię.

- Zbliź się, Jupe! - krzyknął Ascención. - Wprowadź Blondie między konie. Jej obecność je uspokoi.

Jupe odetchnął głęboko i popędził Blondie naprzód, w wąską przerwę między parą przerażonych zwierząt. Konie stopniowo zaczęły się uspokajać. Kiedy Blondie poszła w kłus, ruszyły za nią.

Porywisty wiatr nieco rozrzedził zwartą ścianę płonącego gradu. Jupe zakrztusił się przesyconym siarką powietrzem, po czym przytknął do ust i nosa kawałek koca. Nigdy nie ufał żywiołom. Teraz wiedział, że miał rację. Czy w ogóle zdołają ujść stąd żywi?

Bob obejrzał się. Potoki czerwonej, rozgrzanej lawy docierały coraz bliżej i bliżej uciekinierów. Ptaki i małe zwierzęta uciekały przed masą roztopionych kamieni. Krzaki stawały w płomieniach. Bob usłyszał dziwny, skrzypiący odgłos, jakby dźwięk tłuczonego szkła. Nadpływały rzeki śmierci.

No to koniec, pomyślał.

- Przynajmniej zginiemy w wielkim stylu - powiedział do Pete'a.

- Masz rację - odparł przyjaciel. - Nie każdego pochłania wulkan.

Obaj wpatrywali się w przerażające zjawisko przyrody. Żar nacierającej lawy kłuł ich w oczy, ale zmuszali się, by na nią patrzeć.

Odgłos roztrzaskującego się na kawałki szkła nasilił się. Bob poczuł nagle przyływ nadziei. Czarna skorupa zaczęła zagradzać drogę płonącym rzekom lawy. Przystały już płynąć nieprzerwanym strumieniem w dół zbocza. Rozgrzana masa wolno przesunęła się trochę do przodu, po czym zastygła.

Ustał również gorący prysznic z popiołów i kulek. Od czasu do czasu pojedyncze grudki spadały na pędzące konie i osiołki.

W końcu uciekinierzy znaleźli się poza zasięgiem wulkanu.

Przebyli około kilometra, zanim dotarli w dolinę. Ascención szybko poprowadził ich na następną górę. Tam się zatrzymali.

Kasłali, przytruci oparami dymów, których sporo musieli się nawdychać. Każdy z ocalonych uniósł głowę i głębokimi haustami łykał świeże, ożywcze powietrze. Potem wszyscy odwrócili się i popatrzyli na wulkan.

Ascención pierwszy zauważył w oddali ludzką postać. Uniósł rękę i wskazał ją pozostałym. Dustin Rice skakał rozpaczliwie z głazu na głaz. Potykał się, po czym gramolił do góry. Uciekał z jaskini Villi. Po tamtej stronie góry lawa dotarła zaledwie do szczytu skalnej ściany. Wydawało się, że zawisła tam na chwilę, poczym runęła kaskadą w dół, jak prawdziwa rzeka śmierci.

Echo przekazało ocalonym straszliwy krzyk, jaki wydał z siebie Dusty, nim zniknął pod roztopioną skalną masą.

Czterej młodzi ludzie zamknęli oczy. Dustin Rice był bezlitosną kanalią. Oszustem i być może mordercą. Znali go jednak, podróżowali wspólnie z nim, razem jedli posiłki. Żaden z chłopców nie widział nigdy przedtem ginącego człowieka. Nawet po otwarciu oczu długo nie mogli pozbyć się dreszczy.

Ascención przeżegnał się i zmówił modlitwę po hiszpańsku.

- Ostrzegałem cię - powiedział w końcu, patrząc na Jupe'a. - Mówiłem, że w tych górach jest niebezpiecznie.

Ruszyli naprzód, trzymając się grani wzgórz. Mercedes jechała obok Ascenciona.

- Przykro mi, drogi przyjacielu, że tak się to skończyło - powiedziała. - Gdyby Tom i Brit wydobyli srebro, mógłbyś odkupić swoje ranczo.

- Kto wie, co się zdarzy? - Ascencion wzruszył ramionami. - Może i tak w końcu wróci do mnie.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Kiedy matka opowiedziała mi o jaskini Villi - ciągnął - dodała również, że nikt nigdy nie znajdzie tych pesos. Zbyt wielu poległych żołnierzy Pancho Villi ich strzeże.

Zamilkł na chwilę.

- Teraz będą ich pilnować już na wieki.

ROZDZIAŁ 17

ZEW NATURY

Niebezpieczeństwo mieli już za sobą. Jechali teraz serpentynami ku wiosce, położonej w bezpiecznej strefie za wzgórzami po drugiej stronie wulkanicznej góry.

Niewiele ze sobą rozmawiali. Nawet umysł Jupe'a mógł odpocząć. Ostatnie fragmenty układanki trafiły na swoje miejsce.

Mercedes po raz pierwszy usłyszała o skarbie Villi od Ascencióna. Jego dziadek był żołnierzem Rancho Villi. Mercedes obiecała starymu przyjacielowi, że podzieli się z nim srebrnymi pesos, jeśli jej mąż i syn je odnajdą.

Trzymali całą sprawę w tajemnicy przed Dustym, dopóki Brit nie pojawił się na ranczu z małym, ośleplym osiołkiem. Ranczer podsłuchał, jak Brit mówił Meksykaninowi, że wraz z ojcem znalazł jaskinię Villi.

Dusty opracował chytry plan. Wymyślił, że właśnie Blondie doprowadzi go do miejsca ukrycia skarbu, który zamierzał sobie przywłaszczyć.

Jupe ciągle nie mógł się otrząsnąć po gwałtownej śmierci ranczera. Jednakże to własna chciwość doprowadziła go do zguby. Gdyby nie podjął ostatniej desperackiej próby wydobycia srebrnych pesos z jaskini, żyłby nadal.

Wędrowcy zatrzymali się przy strumyku, by zwierzęta mogły się napić wody i pożywić. Jupe usłyszał w oddali jakiś dziwny odgłos, jakby ryk niezliczonego stada osłów. Blondie zaryczała w odpowiedzi i ochoczo pokłusowała przed siebie w stronę narastających dźwięków.

Kiedy uczestnicy wyprawy wyłonili się spomiędzy drzew, zobaczyli na zboczach ciągnące się kilometrami pastwisko, a na nim ponad sto dzikich małych osiołków.

Blondie zatrzymała się, postawiła długie uszy, które drżały jej teraz z podniecenia. Ryknęła głośno. Jupe ześliznął się z grzbietu oślicy, zdjął jej uprząż i poklepał zwierzę po karku.

Blondie przez chwilę wpatrywała się w chłopca swymi wielkimi, łagodnymi oczami. Potarła go nosem, jakby chciała podziękować, że doprowadził ją do domu. Potem podbiegła do Brita i trąciła go w stopę. Brit schylił się i pogłaskał ją po łbie.

Po ceremonii pożegnalnej uszczęśliwiona oślica pogalopowała przed siebie, by dołączyć do swoich dzikich towarzyszy.

Jupe usiadł za Mercedes na jej dużym ośle i cała grupa ruszyła w dalszą drogę. Gdyby się pospieszyli, mieli szansę dotrzeć przed zmrokiem do wioski, skąd Brit mógłby zadzwonić do przebywającego w Chihuahua ojca i powiadomić go, że on i mama są cali i zdrowi i wraz z Ascenciónem będą tu na niego czekać.

Następnego dnia Trzech Detektywów czekała podróż autobusem z przesiadkami do Rocky Beach.

- Spotkamy się w Los Angeles - obiecał Bob swojemu nowemu przyjacielowi, wraz z którym dosiadał teraz konia Dusty'ego. - Zaliczymy kilka koncertów rockowych, pokrećmy się wśród chłopaków z zespołów.

- Wspaniały pomysł - ucieszył się Brit. - Znam kilka dziewczyn w Los Angeles. Możemy zorganizować podwójną randkę.

- Jeśli się uda... - Bob miał przecucie, że po powrocie znajome dziewczyny nie dadzą mu chwili spokoju.

Pete, jadący z Ascenciónem, rozmyślał o Kelly. Powiedział jej, że wróci nie wcześniej niż za dwa tygodnie. Czy jej serce będzie bardziej czułe po zaledwie dziesięciu dniach jego nieobecności? No cóż, przynajmniej miała mniej czasu, by o mnie zapomnieć, uznał chłopiec. I w końcu dała mi podkoszulek ze swoim imieniem.

Ej, Kelly, Kelly, pomyślał. Co powiesz, kiedy usłyszysz jak uciekałem spod wulkanu.

Jupe wspominał fasolowo-ryżowe menu. Był pewien, że póki żyje, nigdy nie weźmie do ust ani fasoli, ani nawet ziarnka ryżu. Zdawał sobie sprawę, że podczas wyprawy stracił dobre pięć kilogramów, lecz jego kubeczki smakowe zanudziły się na śmierć. Nie mógł się doczekać, kiedy znowu zje pomidora czy sałatę. Najpierw jednak uraczy siebie i przyjaciół ogromną, smaczną pizzą. Wszyscy na nią zasłużyli.

Kiedy konie, na których jechali Pete i Bob, zrównały się ze sobą, Drugi Detektyw popatrzył na przyjaciela. Słowa wypisane na jego podkoszulku nie mogły lepiej oddać tego, co mieli za sobą.

“The Survivors”.

W końcu po tym, co przeżyli w górach. Trzej Detektywi udowodnili, że sztukę przetrwania w trudnych warunkach mają opanowaną do perfekcji.

Ocaleli.